12 stron

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 7 zł.

Biblioteka Miejs. Łódź Andrzeja 14.

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Łodzi.

Rozumny i sumienny patriotyzm nie powinien ulegać terrorowi mocarstwowej fanfaronady, która prędzej lub później sprowadza bolesne rozczarowanie w katastrofie

Aleksander Świętochowski

Rok 2 | Łódź, 8 lipca 1946 r. | Nr 26 (44)

STEFAN ZÓŁKIEWSKI

PO ZJEŹDZIE WROCŁAWSKIM

Z Bergsonem, Dulską i Soplicą we Wrocławiu

I. REFLEKSJE POZJAZDOWE

Wrocławskie Dni Kultury były świadectwem naszego zagospodarowania kulturalnego na ziemiach zachodnich. Wyniki pracy wrocławskiego uniwersytetu i politechniki należy ocenić bez przesady jako imponujące.

Śląsk zdołał już wytworzyć sobie żywe środowisko pisarskie. Są w nim w większości Ślązacy z pochodzenia, są i Ślązacy z wyboru, którzy, jak choćby prozaik Żukrowski, związali swój talent pisarski z potrzebami kulturalnymi regionu.

Dobrze się stało, że przy okazji uroczystości wrocławskich pisarze i uczeni z całej Polski mogli obserwować obecny etap historii tych ziem. Kiedy żywotność miasta, odbudowanie urządzeń technicznych, zorganizowanie handlu — pośrednio świadczyły o zagospodarowaniu i całej prowincji. Tylko bowiem lud i pracująca okolica może powołać do życia tak poważne centrum administracyjne, przemysłowe i kulturalne, jakim jest dzisiejszy Wrocław.

Dni, które spędzili pisarze w mieście, wśród robotników, na wykładach, w bibliotece, na świetnym i wzruszającym widowisku szekspirowskim w teatrze — były dostatecznym świadectwem, że zatarta została niedawna granica dzieląca ziemie nad Odrą i ziemie nad Wisłą.

Lecz właśnie dlatego trzeba na wrocławskie dni kultury spojrzeć i z innej strony. — Nie tylko od strony Ziem Zachodnich. Lecz właśnie od strony problemów kultury ogólnopolskiej.

Taki masowy zjazd jest wyjątkowym terenem obserwacyjnym. Postawione były na nim postulaty pod adresem pisarzy i działaczy kulturalnych. Więcej było prób postulowania przyszłej pracy, niż prób bilansowania wyników dotychczasowej. To jest zupełnie zrozumiałe i odpowiada potrzebom pierwszych kilkunastu miesięcy po odzyskaniu niepodległości. Lecz właśnie tak pomyślany zjazd jest próbą dojrzałości nowego programu kulturalnego. I okazja do rewizji haseł, które w zetknięciu z masami słuchaczy zabrzmiały pusto i ubogo.

W ciągu ostatniego roku ukształtowały się u nas środowiska kulturalne awangardowe, głoszące i realizujące nowy program ideologiczny i literacki. Nieobojętnym będzie tu dorobek „Kuźnicy".

Lecz nie można dziś jeszcze mówić o masowym zasięgu tej awangardowej pracy. Te nowe hasła nie przeniknęły tak szeroko, by dostatecznie spopularyzowane, mogły być przy takiej właśnie okazji, jak wrocławskie Dni Kultury powtórzone zrozumiałe masom przez ludzi raczej zdala stojących od warsztatu nowatorstwa kulturalnego, przez działaczy społecznych niejednokrotnie.

Przeciwnie, Zjazd Wrocławski ostrzegł nas, że treści ideowe, które docierają do mas, są dalekie od śmiałego sprostania potrzebom odnowienia kulturalnego. To, co się mówiło we Wrocławiu, było wprawdzie świadectwem świadomości, że nowy program kulturalny jest potrzebny, że stoją przed nami nowe zadania i nowy typ życia narodowego, wyznaczony przez nową strukturę społeczną, gospodarczą, ludnościowa i geograficzną państwa, oraz nowy typ życia kulturalnego, wyznaczony przez zwycięstwo ludowego ruchu emancypacyjnego. Lecz była to tylko świadomość potrzeby odnowienia. Nie zostały rzucone konkretne, pozytywne hasła programowe, hasła uzasadnione istniejącymi i zaświadczonymi w druku tendencjami rozwojowymi naszej myśli i sztuki.

II. CZY SZLACHETCZYZNA?

Jako główny postulat w stosunku do wszelkiego typu twórców ideologii wysunięte zostało hasło walki ze szlachetczyzną, walki, szanującej jednocześnie tradycyjny, cenny dorobek kultury polskiej, walki, która by w wyniku dała dzieła wyrosłe z potrzeb i życia pracującego człowieka w Polsce, dzieła zdolne stać się dla tego człowieka źródłem pobudek, wskazań, podniet.

Nie jest nowatorstwem na miarę naszych potrzeb głoszenie dziś walki ze szlachetczyzną. Tę walkę stoczyli u nas Nałkowski, Krzywicki, Żeromski, Wyspiański.

Problem szlachetczyzny jest aktualny dziś tylko jako problem genetyczny. Ma rację Chałasiński, gdy wywodzi naszą inteligencję i nasze środowisko świadomie kształtujące wszelkie systemy ideologiczne z kultury, obyczaju, ideologii szlacheckiej.

Lecz klasyczne myślowe narowy i przesądy szlacheckie należą już dziś do przeszłości. Może ostatni spóźniony reprezentował je Sienkiewicz.

To, co na tym szlacheckim fundamencie wyrosło, to był odrębny styl kulturalny naszej inteligencji mieszczańskiej. Powtarzam genetycznie wywodził się ze szlachetczyzny. Ale nie można go ze szlachetczyzną identyfikować. Powstałby wtedy fałszywy obraz cech i właściwości naszej kultury ostatnich dziesiątków lat. Powstałoby mylne przekonanie, że w społeczeństwie polskim wystarczy przezwyciężyć nawyki myślowe bliskich krewnych Sędziego Soplicy i cześnika parnawskiego [illegible] Soplicy, aby to, co pozostanie, stanowiło cenny wkład dla przyszłości.

Otóż tak nie jest. Walka z tradycją Sopliców — to nie jest żaden program minimum. To walka z paroma małoważnymi przeżytkami. To zaś, co w istocie paczy nasze życie kulturalne i co powinno być przezwyciężone, nikomu nie kojarzy się nawet z pojęciem szlachetczyzny. Trzeba te rzeczy nazwać konkretnie, po imieniu. Hasło walki ze szlachetczyzną dziś — to skierowanie ognia na opuszczone pozycje.

Szlachetczyzna to przede wszystkim postawa fałszywej wyższości, separującej nasze warstwy inteligenckie od robotników i chłopów, od społeczeństwa. To ambasadorstwo snobistycznej „kultury europejskiej" na własnej ziemi. To niewiązanie się z twórczymi procesami budowania materialnej kultury w Polsce.

Nie można ograniczyć się do walki z tymi objawami. To są przeżytki, które ustąpią same. To nie jest bowiem program, który by był przez kogokolwiek broniony. Poza może paroma odosobnionymi, ekscentrycznymi endeckimi publicystami bez wpływów.

Jeśli niebezpieczeństwo ich popularności mogło istnieć przed 1939 r., gdy groza faszyzmu pchała intelektualistów w różne aberracje, dziś — po reformie rolnej i przemysłowej — to nie są poważni przeciwnicy. — Idei z lamusa szlacheckiego nikt nie ośmieli się głosić i myśleć tak nawet nie będzie miał odwagi. Natomiast istotne zło jest poza kręgiem szlachetczyzny.

Nie jest nawet przeciwnikiem o pokolenia późniejsza formacja obyczajowa, którą kompromitowała Zapolska. Nie grozi nam i mieszczaństwo płaskie i ciasne w swojej zamkniętej klasowości, egoistyczne, zdolne pojmować **tylko swoją** moralność, **tylko swoje** hierarchie wartości. I to jest przełamane. Uznaje się dziś równowartość obyczajowości i funkcji społecznej i innych klas społecznych.

Inteligent, a zwłaszcza artysta, pisarz, uczony, twórca wszelkich ideologii społecznych nie dlatego separuje się od mas robotniczo-chłopskich, a tym samym od życia społecznego, że głosi i czuje swą wyższość, ani nawet nie dlatego, że granice zrozumiałego dlań świata pokrywają się z granicami klasowymi. Nie jest tu lekarstwem naiwny program bratania się zawieranie małżeństw przez „panów z miasta" z chłopkami. Nie jest lekarstwem tępienie filistra.

Konkretne **różnice ideowe** dzielą masy ludowe i mieszczańską inteligencję.

Ponieważ idzie tu o walkę z [illegible] wstecznictwa ideologicznego, które przekreśliły ostatnie nasze przemiany i reformy, ze świeżo ukształtowanym kompleksem spraw nie da się nazwać ich jednym wyrazem.

III. PESYMISTYCZNY ANTYREFORMIZM

Istotną wadą naszego życia kulturalnego jest to, iż nie nadąża ono za przeobrażeniami w innych dziedzinach życia, że instytucje służące do kształtowania i upowszechniania myśli i sztuki pozostają w tyle za życiem. — I tak cofniętą jest szkoła, staroświeckie uniwersytety ludowe, obca postępowej naukowości humanistyka uniwersytecka, teatr nie stworzył form widowisk objazdowych, nie podjął trudu zorganizowanego dotarcia do wsi i przedmieść robotniczych.

I nie fałszywy arystokratyzm szlachetczyzny kulturalnej jest tu przyczyną tego bezwładu. To bruździ postawa naszego mieszczańskiego inteligenta wyrosła na złych tradycjach szlachetczyzny i ciasnocie dulszczyzny— ale wyposażona w swą treść ideową z zasobów ideologii wielkomieszczańskiej, kapitalistycznej, nie szlachecko-polskiej, a już raczej międzynarodowego pochodzenia. I to trzeba podkreślać — aby wyznaczając cele ataku nie ograniczać się do istotnie skompromitowanych, ale dziś małoznaczących przeżytków. To wszystko cechuje nie szlachecką — a właściwie naszą inteligencką kulturę. Jej to właściwością (prawda odziedziczona po szlacheckim tradycjonaliźmie) jest **pesymistyczny antyreformizm.**

Jego ogólnoeuropejska geneza społeczna i historyczna jest zrozumiała. Wyraża przede wszystkim całość procesów dezintegracyjnych społeczeństw mieszczańskich, rozpad imperiów: tworów gospodarczych i politycznych kapitału finansowego które kruszeją w ogniu kolejnych wojen światowych. Wyraża ideowy zamęt świata mieszczańskiego na progu XX w. kryzys nauki, kryzys poznania, kryzys norm i wartości. To wszystko, co przyniósł Nietzsche, Bergson, Jammes, Husserl, Poincaré, Mach, pragmatyzm, relatywizm, intuicjonizm, konwencjonalizm.

Najistotniejszym rysem tej postawy, paraliżującym wszelką reformę było uznanie za pewne a przeto i cenne tego wszystkiego, za czym przemawia wewnętrznie przekonanie, przywiązanie, serdeczna potrzeba jednostki. Obalono zaufanie do empirycznych sprawdzianów myśli, do teoretycznego poznania, do historycznego doświadczenia i do wszelkiego, kto miał choć skąpą i upokarzającą [illegible] bezpośrednich doznań i radości.

Wśród grozy ginącego świata mieszczańskiego każdy miał choć skąpą i upokarzającą — ale wyraźnie i pewnie zaświadczoną bezpośrednim doznaniem odrobinę radości. Bał się wszelkich zmian istniejącego stanu rzeczy, bo chciał bronić tej osobistej radości. Tej bowiem był pewny, doznawał jej bezpośrednio.

Wszelkie zaś zaangażowanie się w planowym działaniu wymagało uznania skompromitowanych wartości: rozumu, poznania, nauki, planu w kulturze, życiowej wartości myślenia abstrakcyjnego, formułującego prawa na podstawie danych statystycznych. A pesymistyczny mieszczanin zdolny był cenić jeszcze tylko bezpośrednie doznania jako sprawdzian — dzielący niezawodnie rzeczy na przyjemne i przykre. To było pewne. — Wszystko inne wydawało się igraszką okrutnych konstrukcyj. Tak zawodnych. Tak przerastających zasięg bezpośrednich odczuć jedynie pewnych. W wyniku, nic dla tych ludzi nie przemawiało za potrzebą przekładania przyszłego planowo, racjonalnie zbudowanego porządku nad tę posiadaną odrobinę radości, którą w zastanym stanie rzeczy daje choćby gorzkie przyzwyczajenie.

Zwłaszcza, że w działaniu trzeba się podporządkować prawom obiektywnej, poza nami istniejącej rzeczywistości, rzeczywistości instytucyj społecznych. Człowiek epoki niepokoju nie rozumie jej. Nie jest pewien żadnej o niej wiedzy i odrzuca tę wiedzę jako doktrynerstwo. Pewien jest tylko tego, że jedne rzeczy sprawiają przyjemność, inne przykrość. Ceni sobie wskazówki, które uczą unikania przykrych doznań w istniejącym doświadczanym układzie rzeczy. Ceni sztukę wymigania się losowi i historii. Stąd przecenianie psychologii ugruntowanej na t. zw. doświadczeniu wewnętrznym. Wiara, że ona tylko dostarcza cennych wiadomości, wartych uwzględniania w praktyce życiowej.

A lekceważenie planowych zmian i reform oraz ich teoretycznych założeń i podstaw, bo te postulują przyszłość na podstawach niepewnych dla człowieka doby upadku—a napewno nie przynoszą umiejętności unikania przykrych doznań, co więcej zapowiadają, że w nowym porządku nie będzie ich brakło. — Nowy świat z punktu widzenia bezpośredniego doświadczenia wewnętrznego nie będzie nowym, zmienionym, bo znów będzie się dzielił na dwa wielkie zbiory: przyjemności i przykrości. A więc to, co pewne dla człowieka doby upadku — nie zmieni się. Czy

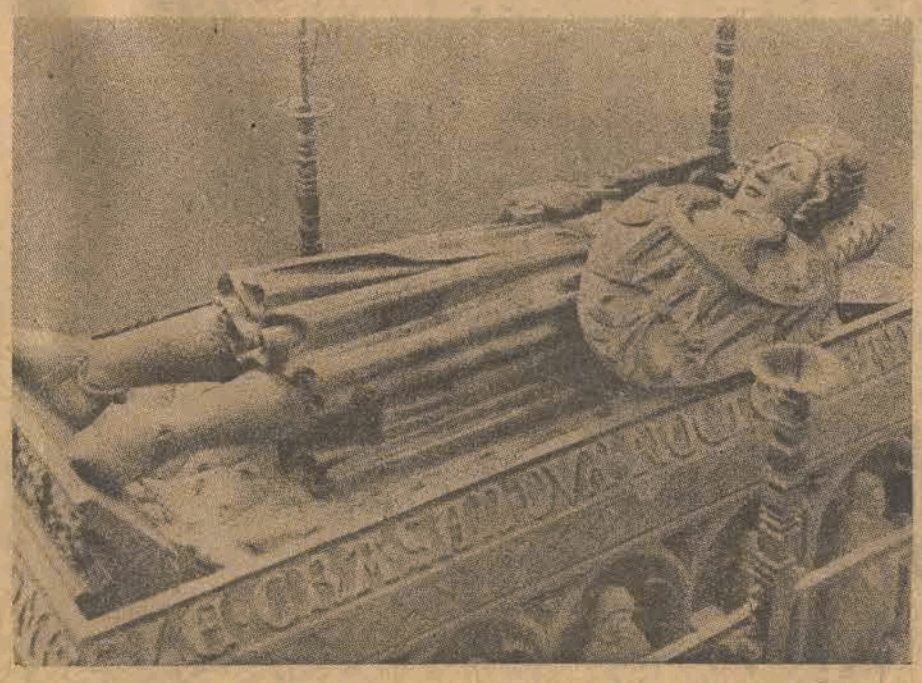

Sarkofag ks. Henryka w kościele Św. Krzyża we Wrocławiu

istnieje natomiast krzywda społeczna i czy osiągalna jest w drodze planowych przemian społeczna sprawiedliwość, ten człowiek nie mógł wierzyć napewno. Wobec tej niepewności zrozumiałym jest, iż trwożliwie lekceważył wszelkie teorie społeczne i wszelkie reformy.

Człowiek doby upadku — to nie klasowa formacja społeczna, to także nie spadkobierca jakiejś dawnej formacji klasowej. Człowiek doby upadku — to nie mieszczuch, czy późny potomek szlachetczyzny. Człowiek doby upadku — to właśnie samotny dezerter ze wszelkich formacji klasowych, sam uznający może jeszcze rutyniczne więzy zawodu i zatem służby dla istniejącego porządku. To człowiek myślący pod dyktandem terroru klasowego wielkiego kapitału.

IV. ROLA AWANGARDY KULTURALNEJ

„Kuźnica" walczyła w ciągu roku z różnymi konkretnymi funkcjami tej postawy zasadniczej.

Nie wierząc w celowość i możliwość planowych reform są pesymistyczni antyreformiści zwolennikami przezwyciężania naszej antagonistycznej rzeczywistości, szukania harmonii drogą dostosowania się. Stąd ich personalizm w wychowaniu, przystosowanie instytucyj oświatowych i wychowawczych do celów urabiania osobowości tak, aby człowiek ukształcony umiał współżyć z wszystkim co zastanie. Aby wytępić w nim zdolność wyboru, entuzjazmu i oburzenia, krytyki, która by prowadziła do planowego przeobrażenia antagonistycznej rzeczywistości. „Kuźnica" walczyła z tą koncepcją wychowania głosząc potrzebę dominowania u nas świadomego zadań społecznych technika.

Ci sami pesymistyczni antyreformiści lekceważą myśl racjonalną i obniżają wartość postępowania empirycznego, jedynych zakładów dalekosiężnej, planowej, skutecznej pracy reformatorskiej. Głoszą prymat instynktu, prymat sprawdzianów wartości w postaci bezpośrednich, niekrytycznych reakcyj indywidualnych. „Kuźnica" narzuciła jako centralny problem ideowy walkę o wartość dla postępu nauki i racjonalnego myślenia. Szło to w parze z walką o unaukowienie humanistyki, o jej teoretyczny charakter wyjaśniający rzeczywistość społeczną i jej prawidłowości. Pesymistyczni antyreformiści bronią oczywiście humanistyki pokrewnej sztuce, tylko opisującej jednorazowe, niepowtarzalne, spontaniczne „cuda" indywidualności. Bronią humanistyki — refleksji, która nie służy praktyce — życiu, bo w epoce upadku mieszczańskiego instytucje kulturowe nie rozwijają się, nie nadążają za życiem, za techniką, degenerują się w bezruchu i zastoju*). Ale też dlatego niepotrzebna jest teoria, która by dążyła do przekształcenia świata, wystarczy refleksja opisowa, smakująca istniejący stan rzeczy.

„Kuźnica" wysunęła program literacki, głoszący intelektualizm nowej literatury, literatury krytycznej, bogatej w treść poznawczą, społeczną głoszący jej humanizm, pojmowanie człowieka prawdziwego, a więc jako zjawisko historyczne i społeczne — a nie tylko jako fikcyjnie izolowane wnętrze psychiczne jednostki.

Pesymistyczni antyreformiści bronili literatury antyintelektualnej, tylko emocjonalnej, rodzącej się z niekontrolowanego rozmachu, chłonięcia świata, naskórkowej pasji wrażeń.

Literatury rzekomego człowieka wiecznego, dowolnie wyposażonego w zdolność doświadczania przeżyć psychicznych i wrażeń zmysłowych, stanowienia norm moralnych, lecz samowolnie uwolnionego od związków ze zbiorowością od historycznej konkretności i od społecznej odpowiedzialności za swoją moralność. Przykładem dyskusja o Conradzie.

Pesymistyczni antyreformiści upatrywali wielkie korzyści duchowe w naszym cywilizacyjnym upośledzeniu. Głosili ruralizm naszej cywilizacji, bronili wsi przed industrializacją. Na tragicznych gruzach Warszawy budowali barykady przeciw maszynie zagrażającej życiu wewnętrznemu człowieka. — W tym jednym wypadku szlachecki charakter tych idei był niezaprzeczony—to też i „Kuźnica" nazwała je „ideologią Sędziego Soplicy", aczkolwiek popierają je żywe siły wsteczne naszego kapitalistycznego społeczeństwa a nie szlacheckiego.

Długo można by wyliczać. Polska awangardowa myśl kulturalna prowadzi od dawna zorganizowaną walkę z tą wsteczną inteligencko - mieszczańską tradycją kulturalną. Pesymizm antyreformistyczny w każdej konkretnej sprawie sugeruje fałszywe stanowisko: w filozofii, literaturze, wychowaniu, organizacji szkolnej, w sprawach młodzieży, kultury wsi, teatru. We wszystkich tych dziedzinach program pozytywny, program odnowy został chociaż zarysowany. W tych konkretnych, szczegółowych sporach okazywało się, że za fałszywymi hasłami stoi nie szlacheckie sobiepaństwo i zaściankowość, ale pesymistyczna obawa przed ponoszeniem koniecznych ofiar, wydatków, wysiłków podyktowanych przez plan racjonalnie przewidywanego porządku i przychylna wszelkiej zachowawczości wiara w zbawczą moc wszelkich innych czynników poza rozumem, poza krytyką istniejącego stanu rzeczy, poza planem reformy, poza przemyślaną, dostosowaną do oporów rzeczywistości działalnością.

Błędne kroki wspierały się nie na szlacheckim separowaniu się od reszty społeczeństwa ,ale na lekceważeniu wszelkiego planowego przekształcenia instytucyj społecznych i na przecenianiu kaznodziejstwa, które miało ulepszyć człowieka. Wszelkie bowiem planowe przekształcanie instytucyj istniejących poza nami — dostosowuje się do praw, które rządzą przeobrażeniami tych instytucyj, musi zatem zawsze wchodzić w kolizję z naszymi bezpośrednimi indywidualnymi reakcjami. — Wszelka bowiem zmiana w naszym otoczeniu prowadzi do przykrej dezadaptacji psychicznej. Tragiczny jest przecież los społeczeństw, które nie wierzą w możność racjonalnego, planowego ulepszenia świata i które wiara, że najwyżej należy cenić to wszystko, co utrudnia konsekwencję działania, krytycyzm myślenia i wyzwalanie form nowych ze starych oków, sprowadza na skraj przepaści: kiedy rzeczywistość,w której te społeczeństwa żyją, zmieniają w konieczny sposób siły obce, choćby siły zniszczenia, wyzwalane przez kulturę kostniejącą, martwą, przychylną uprzedzeniom i przesądom pesymistów.

V. NIEDOSTATKI

Okazja wrocławska dowiodła, że te tezy współczesnego programu kulturalnego nie są dostatecznie spopularyzowane. Są ciągle jeszcze niestety własnością drobnej stosunkowo grupy awangardowej.

Jeśli będziemy trwali na pozycjach walki ze szlachetczyzną i dulszczyzną, będzie źle. Właściwy wróg ujdzie uwagi.

Będziemy wobec zadań, które stoją przed naszym pokoleniem kulturalnie niedozbrojeni. A ma ta sprawa określony sens polityczny. Nie ma zjawisk współczesnych faszyzmowi, które by mu nie sprzyjały lub nie były wrogie. Faszyzm był polityczną formą stabilizacji kapitalizmu w jego najcięższym, schyłkowym okresie. Omawiany pesymistyczny antyreformizm był analogiczną próbą sparaliżowania w sferze ideowej krytyki istniejącego porządku, krytyki zmierzającej nie do interpretacji, ale do zmiany zastanego stanu rzeczy, dawał zatem poparcie wszelkim próbom stabilizacji istniejącego stanu bezwładu i zagrożenia.

We Wrocławiu — przemówienia programowe i bilansowe przedstawicieli Rządu dotyczące naszej polityki były istotnie na miarę zadań, które przed nami stoją. Tezy polityczne, wysunięte przez nich, były jasnym i realnym programem liczącym się dokładnie z potrzebami kraju. Przemówienia dotyczące spraw kultury budziły natomiast biegunowo różne refleksje.

Stefan Żółkiewski

*) Por. co pisze np. o konserwatyźmie szkoły w Anglii i Francji Dr Z. Kormanowa: Reforma szkolnictwa w Anglii i Francji. — Warszawa 1946. s. 72.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Przemówienie

na zjeździe wrocławskim

Ze wszystkich stron Polski zebraliśmy się tutaj aby świętować dni polskiej kultury. W szeregu imprez mamy jakgdyby podsumować wysiłki naszej współczesności w dziedzinie teatru, muzyki, literatury i plastyki. Może niejednemu z obywateli wyda się zebranie w rodzaju naszego czymś przedwczesnym. Moment, który przeżywamy może zdać się im nie nadającym się jeszcze do tego rodzaju podsumowania. Miasto, w którym przebywamy leży jeszcze w gruzach, jak wiele innych naszych miast, ulicami tego przechodzą bezdomni: jeszcze repatrianci, wśród których nie brak jest głodnych i chorych. I im dalej rozejrzymy się po kraju, tym więcej spostrzeżemy potrzeb codziennego naszego gospodarstwa, tym więcej spostrzeżemy pracy, która musi być pilnie wykonana.

Czy więc nie pierwej należałoby pomyśleć o tych głodnych i chorych, o tych bezdomnych i tułaczach? Czyż nie ma tysiąca pilniejszych spraw, niż te, dla których omawiania zebraliśmy się tutaj?

Na pewno nie. Jednym z zadań właśnie takich zjazdów jak ten, który dzisiaj otwieramy, jest przekonanie i nauczenie społeczeństwa, że sprawy kultury są tak samo ważne jak inne, ekonomiczne, gospodarcze i polityczne.

Kultura, niestety, jest jeszcze w oczach naszego społeczeństwa jakimś dodatkiem, deserem, — czymś bez czego się można „na razie" obyć. I pracownik kultury w Polsce nie jest należycie ceniony i rozumiany. Rola jego jest uważana za coś drugorzędnego, pomiernego — i w tym stosunku do pisarza, artysty, malarza czy profesora tkwi jeszcze ślad najgorszych tradycji szlacheckich.

A przecież nigdzie bardziej, jak w tym mieście o piastowskich tradycjach, nie widać czym jest właściwie kultura. Czyżbyśmy mogli powrócić tutaj i czuć się, tak jak u siebie w domu, gdybyśmy tutaj nie odnajdowali na każdym kroku śladów naszych najstarszych klerków, którzy tutaj rzeźbili, budowali, fundowali, pisali kroniki, i tutaj świetymi zostawali.

Tutaj możemy pojąć i zrozumieć czym jest istota tradycji kulturalnej, tej jak to profesor Kleiner nazywa „solidarności duchowej dawnej i nowej Polski", czegoś co stanowi jedność naszego narodu i naszej historii. W kraju, gdzie ciągłość kulturalna narażona bywa stale na takie fluktuacje jak w naszym, należy cenić nade wszystko, to, co nam historia naszej kultury przekazuje. A historii naszej wstydzić się nie potrzebujemy i odwracać się od niej nie możemy. Im bardziej nasze myśl pomiędzy dawnymi a nowymi laty, im więcej w przeszłości znajdziemy ziaren tego, czym w tej chwili żyjemy, tym wartościowsze i trwalsze będzie to, czym żyć **będziemy** i co tutaj, czy gdzieindziej w Polsce zbudujemy.

A jednym z największych skarbów naszej tradycji, tym co nas najbardziej i najoczywiściej łączy — jest nasz język polski. Z jakimże wzruszeniem wspominamy o nim tutaj, nieopodal tego miejsca, gdzie zanotowano w księgach starego klasztoru przez księcia polskiego fundowanego, owo pierwsze zdanie po polsku jakie znamy — zdanie już jak w ziarnku pszennym zawierające cały obraz naszej pokojowej i uprzejmej kultury — zdanie jak zapewne wiadomo państwu zawierające łagodne słowa zwrócona przez męża do żony: **daj, ja pobruszę a ty poczywaj...** — cały zalążek naszej literatury.

Przed wojną jeden z moich przyjaciół był urzędnikiem konsulatu polskiego we Wrocławiu. Opowiadał mi on, że kiedy przychodził do niego stary listonosz, stały tuteiszy mieszkaniec, z uwagą rozglądał się, zamykał wszystkie drzwi w pokoju, i wtedy zaczynał rozmawiać z moim przyjacielem po polsku. „Panie — powiadał — moje dzieci już wszystkie mówią po niemiecku, ale ja zawsze mam nadzieję, że one będą mówiły po naszemu..."

Przetrwał on tutaj gdzieś po zakątkach, po zapadniętych wsiach i po zatajonych sercach, w modlitwach i westchnieniach do wolności, — ten nasz wielki język, z którego powinniśmy być dumni i który powinniśmy kochać nade wszystko.

Język polski jest ta nasza zasadnicza bazą kulturalną na której dopiero możemy zbudować całość naszego domu duchowego. Głęboka rozmaitość i olbrzymie bogactwo tego języka, jest skarbem naszym najdroższym. Musimy pilnować go i jego czystości, jak czegoś co nie tylko jest nasza własnością, ale jest jakgdyby zwierciadłem nas samych i naszego istnienia. Jak powiada poeta:

Język naszym skarbem świetym
Nie igraszką obojętna...
— — — — — — — —
Musi naprzód iść z żywemi
A nie tępić życia zaród, —
Soków pełnie czerpać z ziemi:
Jaki język — taki naród!!!

Soków pełnie czerpać z ziemi... Ziemia nasza pełna jest sił, pełna tych soków, które w niej płyną z niespodziewanym bogactwem i użyczają bohaterom naszym krwi, którą, w obronie kultury polskiej przelali — a żywym wlewa w żyły tę moc i chęć do pracy, której coraz więcej potrzebuje nasza ojczyzna i ludzkość cała.

Praca, tworzenie kultury jest także bohaterstwem, to trzeba odczuć i zrozumieć.

I tutaj nie trzeba kusić opatrzności i żądać od niej cudów, jak to czynili ci mieszkańcy Wrocławia, którzy świetemu Janowi Kapistratowi przedstawili żywego młodzieńca jako trupa i prosili go, aby okazał im moc czynienia cudów i wskrzesił go. „Sami go wskrzeście" — powiedział święty Jan do wrocławian. A młodzieniec okazał się martwy. Nie, nie możemy czekać cudów i nie możemy liczyć na nikogo tylko na siebie samych w tworzeniu tych wszystkich wartości duchowych, które są największym patrymonium narodu.

Bo nie granice, które czasem się zmieniają, nie wielkie bitwy, o których czasami się zapomina, nie szczęk oręża, lecz kultura stanowi o życiu, o obronności o wytrwaniu, o istnieniu, o wieczności narodu.

To też najważniejszym zadaniem w dziedzinie konsolidacji naszego społeczeństwa i państwa po straszliwych wstrząsach, jakie przebyliśmy w ostatnich tak pamiętnych i tak strasznych latach, jest przede wszystkim tworzenie nowych wartości kulturalnych.

Przyznam się, że jestem wielkim optymistą pod względem wartości naszej kultury współczesnej, a zwłaszcza dziedziny jej twórczości artystycznej. Jeżeli stwierdzimy, że w czasie rekonstrukcji najpierwotniejszych dziedzin naszego życia i budowania wszystkiego rzeczywiście od samego początku, potrafiliśmy jednocześnie zdobyć się na takie przedstawienia, jakie widywaliśmy w naszych teatrach, jeżeli w tym czasie wydaliśmy nie wiele książek, ale wśród których znalazły się naprawdę nieoczekiwanie dobre rzeczy i świetne debiuty, jeżeli muzyka nasza ze zrujnowanego kraju już poczęła promieniować na zagranicę, jeżeli przed plastyka naszą, a zwłaszcza plastyka użytkowa już otwarły się słoneczne perspektywy — to mam wrażenie, że optymizm mój jest zupełnie uzasadniony.

Ale tworzenie to jeszcze nie wszystko. Czeka nas jeszcze jedno zadanie — które jeszcze nie jest należycie uświadomione i którego metody działania nie są dostatecznie opracowane. Myślę tutaj o zadaniu tak kapitalnym i tak zasadniczym jak upowszechnienie kultury.

Cóż z tego, że posiadamy naszą osobliwą, tak bogatą i opatrzoną tak wielkim stemplem oryginalności literaturę, cóż z tego, że posiadamy teatr, który coraz bardziej ustala swą monumentalną tradycję, cóż z tego, że w tej chwili rozporządzamy plejadą naprawdę nieprzeciętnych i utalentowanych muzyków — jeżeli z tego bogactwa nie korzystają najszersze warstwy naszego narodu. Sztuka nasza wciąż jeszcze nosi charakter elitarny, czegoś dla smakoszy.

A przecież kultura jest czymś takim jak chleb, jak węgiel, musi być dla wszystkich.

Kongres zawodowych związków twórczych, jaki na jesieni odbędzie się prawdopodobnie w Warszawie zastanowi się nad metodami, jakie należy stosować celem upowszechnienia kultury. Raczej powiedziałbym zastanowi się nad skoordynowaniem poszczególnych wysiłków w pewną harmonijną całość, gdyż pod tym względem już nie jedno się robi i robi słusznie. Jest to moim zdaniem jedno z najważniejszych zadań społecznych dzisiejszego dnia i powinno być rozstrzygnięte w zgodnej współpracy rządu, odbiorców i twórców.

Dzisiejsze nasze spotkanie jest jak gdyby wstępem do owego kongresu, pierwszym zapoznaniem się z zakresem i wymiarem tych olbrzymich zadań, jakie czekają w najbliższych latach naszych twórców kultury. To że to spotkanie odbywa się na terenie ziem odzyskanych, które zawsze były łączone z macierzą podziemnym nurtem ukrytych wspólnot kulturalnych jest symbolem olbrzymiej siły atrakcyjnej jaka kultura nasza — nawskroś pokojowa, nawskroś humanitarna i humanistyczna, nawskroś chrześciiańska posiadała i posiada.

Od nas i pokolenia, które narasta, zależeć będzie dalszy los tej kultury. Myślę, że nawiązując do jej tradycji, pokolenie to wzniesie ją na wyżyny nowej ery, ery „renesansu słowiańskiego", o którym tylu wielkich synów Polski marzyło.

JACEK BOCHEŃSKI

Świadectwo

Żyłem w czasach, kiedy każdy widział,
że nie Pan Bóg stworzył świat,
lecz że człowiek stwarza świat i Boga,
ale nie każdy pamiętał o tym.
Było nas wielu, którzyśmy mówili:
„Pieniądze i mięso nie są gorsze od kwiatów
a ciała ludzkie nie są nikczemniejsze od poezji",
ale nie każdy chciał z nami świat opracować,
bo kłamał: „Takie już jest dzieło Pana Boga".

W tych czasach żołnierze przestali strzelać,
a lotnicy nie burzyli już miast.
Wołałem: „Z rumowiska wyjmij cegły,
proch z nich uważnie zdmuchnij, będziemy budować szkoły".
W tych czasach przez ulice stolic szedł chłop
i mówił: „Ja jestem równy architektowi i poecie,
bo wszyscy jemy i monetami nas mierzą".
Poeta mówił: „Jestem robotnikiem wyobraźni i mowy".

W tych czasach
na obumarłych barykadach spokojnie rozprawiali mądrzy,
a walka nasza była taka — jak malarza z naturą,
jak uczonego z liczbą — bez sztandarów, bez szałotów.

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

O nowy styl życia

(Przemówienie na otwarciu Dni Kultury we Wrocławiu)

Świat kultury — to świat wartości nagromadzonych przez pracę. Tak, zasadniczo stawiając kwestię, mamy prawo do mówienia nie tylko o artystycznej kulturze zbiorowości ludzkiej czy narodowej, ale i o kulturze gospodarczej, społecznej i politycznej. W tym sensie jest kultura najdoskonalszym wyrazem całości życia zbiorowego.

Czy kultura jest zjawiskiem pozahistorycznym, ponadczasowym, czymś poza czasem i środowiskiem?

Jeże'i kiedyś, pisząc o „Panu Tadeuszu", uznał Słowacki mickiewiczowskie arcydzieło za wyraz „wieprzowatości życia" — to niewątpliwie skrzywdził tym Mickiewicza, ale i trudno oprzeć się przekonaniu, że zarazem trafił tu gdzieś w sam rdzeń rzeczy.

Mickiewiczowskie arcydzieło — to epos życia szlachty polskiej u początków XIX stulecia, a więc u kresu zarazem jej twórczej roli w życiu polskiej zbiorowości narodowej.

Słowacki, uderzając w „Pana Tadeusza", nie kwestionował genialności dzieła, dla którego gdzieindziej — w „Beniowskim" znalazł najwspanialsze słowa zachwytu. Słowacki ugodził swoją opinią o „Panu Tadeuszu" we właściwego bohatera eposu — w szlachtę, w jej nietwórczą już wówczas rolę, w jej nieprodukcyjny, jałowy, konsumpcyjny styl życia.

I ten styl określił pojęciem „wieprzowatości życia".

Jeżeli więc dzisiaj podnoszą się zewsząd głosy przeciw dotychczasowym formom życia kulturalnego, głosy domagające się kształtowania nowego typu kultury duchowej, która byłaby wyrazem nowego, zmienionego układu stosunków społeczno - politycznych w Polsce — to przecież i tym razem nie chodzi o nic innego, tylko o nowy styl życia.

Uprzytomnijmy sobie teraz, że kultura, to jest ów proces tworzenia poprzez pracę wartości, które nagromadzone wysiłkiem pokoleń, stanowią bezcenny nasz dorobek — nasz skarb. Ów skarb kultury zawierający w sobie najróżnorodniejsze wartości ducha ludzkiego, ducha narodowego — niezmierne bogactwo od walorów obyczajowych, etycznych po wysokie wartości dzieł sztuki, wartości artystyczne.

Jakiż może być nasz stosunek do owego bogactwa, do kultury?

Kiedy twórca „Króla Ducha" mówił o „wieprzowatości życia" szlachty polskiej, wskazywał w ten sposób na jej pasożytniczy stosunek do gromadzonych przez pracę wartości, na jej bezproduktywność, wskazywał na społeczną i kulturalną bezwartościowość tej szlachty, która nie wnosząc już nic albo i niewiele, uzurpowała sobie niemal że wyłączne prawa do korzystania z nagromadzonych dóbr.

I oto na przykładzie szlachty u schyłku jej dziejowej roli możemy się przypatrzeć konsumpcyjnemu stosunkowi do kultury — owemu pasożytniczemu stylowi życia.

Szlachta tamtej epoki — jako klasa społeczna — nie wnosi już do życia zbiorowości narodowej nic, czy też prawie nic nowego. Obraz jej własnego życia jest martwy, statyczny, zamknięty w skostniałych, od dawna już gotowych, ukształtowanych przez poprzednie pokolenia formach.

Normy etyczne, obyczajowe, nawet estetyczne, obowiązujące w Soplicowie — to normy przyjęte od twórczych przodków, odziedziczone, wzięte darmo w dziejowym spadku. Życie toczy się dalej, historia popycha naprzód jego sprawy, a Soplicowo tymczasem żyje wciąż jeszcze anachronicznymi tradycjami. Ale Mickiewicz był i geniuszem postępu. Dlatego, choć zakochany w urokach dawności polskiej, skazuje tę reakcyjną już dawność na zagładę, określając jej przedstawicieli słowami „to są ostatni".

Mimo tego skazującego wyroku wieszczów, szlachetczyzna jako zjawisko kulturalne przeżyła aż po dzień dzisiejszy, uwarunkowana układem stosunków społecznych.

Zasadniczy przewrót sprowadza dopiero dzisiejsza zmiana warunków życia społecznego w Polsce.

Wyzwolenie poprzez głębokie reformy świata pracy, klas twórców wartości — robotników i chłopów, związanie ich istotnymi węzłami ze środowiskiem inteligencji pracującej, kładzie podwaliny pod nowe układy społeczno - kulturalne.

Dokonana reforma rolna, społeczna i polityczna emancypacja chłopa w Polsce, uczynienie go współgospodarzem w Państwie, upaństwowienie kluczowych gałęzi przemysłu, szeroka rozbudowa związków zawodowych i powierzenie im rozległych zadań o charakterze ogólnopaństwowym, ogólnonarodowym — wszystko to otwiera nowe, niezwykle ogromne perspektywy dla rozwoju kultury narodowej.

Korzystanie ze skarbca wartości kulturalnych było jak dotychczas przywilejem warstw posiadających. Chłop polski, polski robotnik, wprzągnięci do niewolniczego jarzma pracy, pracy stanowiącej przedmiot bezwzględnego, nieliczącego się z ogólnonarodowymi interesami wyzysku — nie korzystali, a przynajmniej w niesłychanie drobnej mierze korzystali z dobrodziejstw życia kulturalnego, co gorzej — postawieni zostali w konsekwencji poza uczestnictwem w procesie tworzenia kultury narodu.

Dziś w związku z wkroczeniem w życie zbiorowości narodowej nowych klas, grup społecznych, których znamieniem najistotniejszym jest najwyższy dziś heroizm — heroizm pracy, staje przed nami kapitalne zadanie przekształcenia typu kultury narodowej. Praca, zorganizowany twórczy trud — musi znaleźć właściwy wyraz w nowym stylu naszego życia narodowego. Co dotychczas było tylko inteligenckie, tylko chłopskie, czy tylko robotnicze, od jutra stać się musi wartością ogólnonarodową.

I to będzie dopiero właściwy przewrót, właściwa rewolucja.

Przekształcając pojęcie samego narodu, za który nie tak dawno jeszcze poczytywała się jedna tylko, uprzywilejowana warstwa zbiorowości, przekształcić musimy zasady, przekształcić musimy również fundamenty, na których ma się wspierać nasze życie kulturalne.

Przemianę wyznacza tu kierunek od pasożytniczego korzystania z wyprodukowanych wartości ku zorganizowanemu, twórczemu trudowi całej zbiorowości narodowej.

Dziś, kiedy wielkie „dzieło zniszczenia" już poza nami, czas i na „wielkie dzieło tworzenia" — jak te sprawy kreślił twórca „Reduty Ordona".

Dwa równoległe zadania stoją przed nami. Planowo i metodycznie pracować nad obeznaniem mas pracujących, szerokich rzesz narodowych z dotychczasowym dorobkiem kulturalnym Polski i świata — to raz. Systematycznie, uparcie, krok za krokiem włączać jak największe rzesze robotników, chłopów i inteligencji pracującej w orbitę procesu samej twórczości kulturalnej — to dwa.

Świat pracy w Polsce ma pełną świadomość swoich zadań w tej dziedzinie, zdaje sobie sprawę z ogromu wysiłku, jaki tu go czeka.

Trzeba mu w wypełnieniu tych zadań dopomóc.

Świat pracy, klasa robotnicza jako twórcza awangarda ludzkości, ma zasłużoną ambicję przodowania w dziele kształtowania wartości kulturalnych. Nowe życie, o którym się tak często dziś mówi, to przede wszystkim zagadnienie nowego typu kultury, nowego stylu życia.

„Wieprzowatości" dawnego życia — stylowi szlachetczyzny pokutującej wciąż jeszcze w polskim życiu, konsumpcyjnemu stosunkowi do życia leniwych pożeraczy dóbr gromadzonych przez pracę, odrodzony naród pragnie przeciwstawić nową, własną robotniczą koncepcję życia, opartą o twórczy ideał pracy.

Uniwersytetami tego nowego stylu, tego twórczego stylu mają być przede wszystkim robotnicze domy kultury, domy kultury ludowej.

Może to wszystko brzmi bardzo wyniośle, bardzo patetycznie, ale nie zapominajmy, że sprawa jest i wielka i wyniosła i patetyczna.

W codziennej praktyce życia pierwszych dni wolności i demokracji w Polsce świat pracy dał dowód zrozumienia, tęsknoty, poczucia potrzeby podjęcia i to zaraz, i to z całym rozmachem dzieła, o którym tu mowa. Powstawanie niemal spontaniczne, (jak grzyby po deszczu), w najcięższych — dodajmy — warunkach robotniczych i chłopskich instytucyj kulturalnych, jest tego dowodem. Mnożą się robotnicze domy kultury, świetlice przy zakładach pracy, domy ludowe — i to jest dobre, i to nas raduje.

Owe domy kultury i świetlice — to właśnie w zamierzeniu ogniska kształtowania demokratycznej świadomości społeczno - politycznej, to koła pracy samokształceniowej i warsztaty twórczości artystycznej, a wreszcie to szkoła nowych dobrych obyczajów opartych o zasadę uspołecznienia jednostki ludzkiej.

Przekreślając tu egoistyczny indywidualizm „szlachetczyzny", wychowywać trzeba jednostkę do życia w zespole i dla zespołu.

Dom kultury w ostatecznej konsekwencji — to dom dla każdego z członków pracującej, tworzącej zbiorowości, dom, w którym znajdzie on i wiedzę i piękno i radość — i co najważniejsze: poczucie swoje ludzkiej godności.

W ten sposób pojęte instytucje kulturalne świata pracy mogą i powinny się stać kuźnicami nowych wartości kulturalnych, warsztatami pracy kulturalnej, pionierami jej upowszechnienia i uspołecznienia — mogą się stać wspaniałymi kołami napędowymi życia w Polsce.

Rezygnując jednak z patetycznego tonu, z wzniosłych słów na rzecz codziennej właśnie praktyki, spoglądając realnej prawdzie trzeźwo w oczy, trzeba sobie powiedzieć — zadanie jest na razie bardzo ponad siły samych najbardziej w tym zainteresowanych.

Życie kulturalne Polski nawet przed spustoszeniem go przez hitlerowskiego zbira wiele pozostawiało do życzenia — i to właśnie w zakresie dźwigania kultury powszechnej.

Świat pracy nie podoła narazie sam realizacji postawionych tu sobie zadań. Ale i z nich nie zrezygnuje. W tym właśnie tkwi jego heroiczny charakter. Robotnikom i chłopom w ich dziele kształtowania nowego typu kultury musi przyjść z pomocą cała demokratyczna inteligencja polska.

Przekładając to na język praktyki życia codziennego: nikomu nie wolno uchylać się od realnej, codziennej roboty, od konkretnego osobistego wkładu w tę pracę. I im kto wyżej stoi w hierarchii pracowników kultury w Polsce, tym więcej trzeba od niego wymagać, choćby nawet kosztem pewnych wyrzeczeń i rezygnacyj z indywidualnych ambicyj. Bo to jest właśnie ważniejsze, bo od tego zależy los i przyszłość kultury w Polsce, los i przyszłość narodu, Polski samej — to jest to wielkie pracowisko narodowe.

Działacze polityczni, społeczni, kulturalni, oświatowi, pisarze, poeci, wszelkich kategoryj artyści muszą w swoich terminarzach kieszonkowych wyznaczyć sobie praktycznie pozycje i daty, obok których będzie figurował wymowny kryptonim „R K" — robota kulturalna.

Sprawa ta musi dla pracowników kultury w Polsce stać się czymś tak codziennym, tak konkretnym, jak codzienny obiad i sen, jak dla robotnika jego codzienny warsztat pracy. Wtedy będzie dobrze.

Robotnicy i chłopi, wespół z demokratycznymi pracownikami kultury przy codziennym warsztacie pracy kulturalnej — to jedyna, pewna rękojmia, to gwarancja ukształtowania tego nowego, wymarzonego, upragnionego stylu życia, którego ideałem jest i patos, i heroizm, i piękno i radość pracy.

Cały urzędowy, z natury swojej sztywny i ociężały państwowy aparat „krzewienia" czy „upowszechniania" lub uspołeczniania stanie się zbędny, przynajmniej — małoważny.

Życie kulturalne winno być w zasadzie samorządne. Rola państwa powinna polegać tu na nadawaniu ogólnego tonu i kontroli wykonania koniecznych zadań.

Ponure doświadczenia faszystowskich prób stotalizowania życia kulturalnego, wodzenia go za nos, brutalnej ingerencji w jego najsubtelniejsze sprawy — przeraża twórców. I słusznie. Ale nie wolno też zapominać, że żadne nowoczesne państwo nie zrezygnuje dzisiaj, po nagromadzeniu wszelakich doświadczeń, z wpływu na bieg rozwoju życia kulturalnego. Pozostawienie w państwie demokratycznym, zwłaszcza obecnie śród chaosu życia powojennego, losów kultury polskiej wolnej grze sił może się okazać równie niebezpieczne jak i zbyt natrętne pchanie państwowego nosa do każdego zakątka życia kulturalnego. **Państwo winno tu odegrać rolę koordynatora społecznych wysiłków.**

Ministerstwo Kultury i Sztuki podobne dobremu ogrodnikowi winno baczyć tylko, czy swobodnie wyrastające drzewo kultury polskiej pomyślnie się rozrasta zgodnie z planem rozrostu całokształtu życia polskiego, winno dobrą ręką i z wielkim rozumem, taktem i delikatnością obcinać dziczki oraz podlewać i podlewać grunt, na którym to życie się krzewi.

W okresie dzisiejszym, w początkowej fazie nadawania temu życiu pierwszego napędu — trzeba je silnie wesprzeć. Nawet materialnie. I to wszystko. Rozumiemy, że w hierarchii bieżących potrzeb i powojennych zadań odrodzonego państwa są, a przynajmniej z pozoru może się wydawać, że są sprawy, które wymagają wcześniejszego od kulturalnych rozwiązania. Nie możemy się wszakże na to zgodzić. Dla harmonijnego rozwoju naszego życia problemy kulturalne muszą być rozwiązywane równolegle z gospodarczymi, politycznymi i społecznymi — bez przechylania równowagi na korzyść jednych czy drugich i to nie tylko w efektownych deklaracjach, ale i w efektywnych wydatkach na kulturę, na sztukę.

Sprawy kultury nie mogą być kopciuszkiem ani w ustawodawstwie państwowym, ani w budżecie.

Oczywiście, brednią byłoby ostatnią sądzić, że w drodze rozporządzeń, ustaw, ukazów można przez funkcjonariuszy Ministerstwa popędzać rozwój życia kulturalnego. Takie działanie wprost — jak już stwierdziliśmy narobiłoby niebywałego bigosu. Trzeba — powtarzam — pracować inaczej, pośrednio. Trzeba, ażeby Rząd nie ustawał wpływać na tworzenie pomyślnych warunków dla rozwoju życia kulturalnego. Funkcjonariusze Ministerstw winni nie dysponować bezpośrednio sprawami kultury, ale odwalać kłody na drodze jej rozwoju.

Dlatego, aby tak stanęła sprawa, muszą również w pełni uświadomić sobie swoją rolę, swoje zadania pracownicy kultury — intelektualiści, pisarze, artyści.

Artyści muszą zapomnieć, że są jakowąś — rzeczywistą czy urojoną — solą ziemi, natomiast uprzytomnić sobie, że istotnie bywają i mogą być drożdżami narodzin wielkiego, powszechnego ruchu kulturalnego.

Trzeba, ażeby jednostki i środowiska twórcze głęboko wrastały w codzienność naszego życia, żyły tym samym, czym żyją wielkie masy ludowe, wrażliwie rezonowały na poruszenia tych mas, włączyły się do ogólnego rytmu życia narodowego — do wielkiego rytmu przemian dziejowych.

W ten tylko sposób kultura, w ten sposób sztuka przestanie być wreszcie zabawką w rękach „wytwornych" wygodnisiów czy też kwiatkiem u zawszonego kożucha, błazeńskim płaszczem zgranego aktora, pod którego fałdami ukrywa się nicość lub — jak w przypadku kultury hitlerowskich Niemiec — pospolita zbrodnia, a stanie się najlepszym wyrazem ideałów nurtujących dusze jutrzejszych budowniczych świata. Najpiękniejsze marzenia robotników i chłopów polskich znajdą doskonały kształt w poezji, w muzyce, w malarstwie, w rzeźbie, w architekturze — w sztuce jutra, która właśnie im robotnikom i chłopom będzie służyć, a oni ją kochać.

W ten sposób naszej kulturze, naszej sztuce odjęte zostaną specyficzne cechy produktu dla ozdoby życia wałkoniów, eksploatatorów cudzego twórczego wysiłku.

Kultura stanie się naprawdę wyrazem nowej epoki — nowego stylu życia.

Jednocześnie odbierzemy jej dotychczasowy klasowy charakter, upowszechnimy ją, uczynimy ją w najlepszym tego słowa znaczeniu narodową.

Tak pojęta kultura będzie najdoskonalszym cementem, wiążącym rzeczywistą, nie tylko formalną jedność narodu. Wyrastając z rdzenia zbiorowości narodowej, będąc najczystszą emanacją tej zbiorowości — zarazem najdoskonalej skuje ją w nierozerwalne szeregi. A jeśli z tych szeregów wyjdzie nowa myśl, czy nowa pieśń — to będzie ona mówić o doli i niedoli całego narodu, o wspólnych klęskach i triumfach ludzi od młota, od pługa i od pióra, o ich tęsknotach i celach, i o ich wspólnym ostatecznym zwycięstwie.

—o—

Tu na ziemiach odzyskanych, na zachodnich obszarach Polski zagadnienia kulturalne stanowią kapitalny problem naszego życia.

Od wieków zostało tu zduszone, stratowane autochtoniczne, polskie życie duchowe — wdeptane w ziemię przez brutalny, nie przebierający w metodach najazd niemiecki. Od wieków nie istniało tu, nie rozwijało się wyższego rzędu polskie życie kulturalne. Zostały zaledwie tu i ówdzie rzadkie jego ślady sprzed stuleci, które cudem niemal uszły uwadze ich pedantycznego niszczyciela, barbarzyńskiego szowinisty.

Kultura polska nie zniknęła jednak zupełnie w tutejszym życiu, kultura polska na tych ziemiach ukryła się jakgdyby w jego szczeliny, umykając się całkowitej zagładzie.

Szczątki jej, niejako echa ech dawnego wspaniałego jej rozwoju, jej minionej tu świetności, skarłowaciałe pod uciskiem przerażających warunków jej kształty przechował mimo wielowiekowego procesu germanizacji, mimo narzuconego mu jarzma lud śląski. Przechował je mimo ucisku i terroru. Przechował je we fragmentach dawnego obyczaju, w strzępach swoich strojów, w skamienielinach dawnych wierzeń i dawnej mowy — w stylu swojego życia.

Proces germanizacji, proces wynaradawiania Polaków na tych ziemiach dokonywał się odgórnie. Jak ostry kwas poprzeżerał dość szybko wierzchnie warstwy społeczne, dokonał ich kompletnego w sensie kulturalnym odbarwienia, przenikał w głąb dalej, — ale wyniszczyć wszystkiego do cna nie zdołał.

Tu na tych ziemiach masy narodowe były polskie, lud był polski.

I w ludzie śląskim mimo wszystko pozostało coś z najprostszych elementów jego narodowej kultury.

Z tego faktu, jakże doniosłego, musimy wyciągnąć jak najdalej idące wnioski — i kiedy myślimy o tych tu odzyskanych naszych ziemiach zachodnich i kiedy wykreślamy drogi rozwojowe dla naszej kultury narodowej w ogóle.

Gdzie nasza kultura narodowa sięgała do najgłębszych pokładów życia zbiorowego i do najszerszych mas ludowych — tam się ostaliśmy i zostaniemy na zawsze. Odeszli i znikną stąd na zawsze ci, którzy usiłowali od góry narzucić swoją kulturę, swój obcy masom ludowym styl życia.

Gdzie naszą kulturą nasiąkaliśmy górne warstwy społeczne, gdzie lud był nie nasz, gdzie lud zachowywał przez wieki własny, odrębny, od naszego różny typ kultury, różny styl życia — stamtąd zmusiła nas do wycofania się logika procesu dziejowego.

O przynależnościach ziem nie decydują tabliczki i barwy na urzędowych gmachach. Tabliczki można zmieniać nawet codzień i co dzień nad gmachami zwijać jedne a zawieszać inne sztandary. Ale to w dziejowej perspektywie nie decyduje o niczym.

Gospodarzem tych czy innych obszarów pozostaje w ostatecznym historycznym rezultacie nie ten, kto zainwestował w mury, czy w drogi, w fabryki, czy koleje, nie ten, kto narzucił swój dryl elicie, t. zw. górnym warstwom społeczeństwa, ale ten, do kogo należy kulturalne gospodarstwo szerokich mas ludowych, kto zainwestował najlepsze swoje wartości duchowe w te masy — do kogo należy lud, do kogo on należy, jak do nas lud śląski.

—o—

Dalsze wnioski nie wymagają już bliższych uzasadnień. Przetrwaliśmy jako naród wielkie burze dziejowe. Upadliśmy kiedyś dlatego, że — jak powiedział Mochnacki — „nie większość, ale mniejszość po wszystkie czasy była u nas narodem". Nie chcemy już nigdy więcej popadać w dziejowe katastrofy i dlatego przebudowujemy swoją strukturę wewnętrzną: odtąd conajmniej większość będzie u nas po wsze czasy narodem. Ale żeby nawet ta większość stała się rzeczywiście narodem, musi mieć pełnię praw kulturalnych, musi aktywnie uczestniczyć w ogólnym życiu duchowym zbiorowości narodowej.

I na tym tylko winien się zasadzać cały nasz program kulturalny.

Jeśli go zrealizujemy, jeśli zdołamy ukształtować nowy, twórczy, powszechny dla całego narodu styl życia — zwycięstwo nasze będzie pełne i ostateczne.

TADEUSZ GALIŃSKI

Śląsk opuszczony

Zakończony niedawno Zjazd Kultury na Dolnym Śląsku, zmusza do głębokiej refleksji na tle ogólnego stosunku do ziem odzyskanych, a zwłaszcza do Dolnego Śląska.

Zjazd Kultury był wprawdzie wielką manifestacją polskości, był mocnym akcentem w ogólnej polityce słusznych żądań narodu polskiego, ale nie związał — bo w takiej formie związać nie mógł — przedstawicieli nauki, literatury i sztuki z tymi terenami, nie pozostawił w psychice urobionych od lat pojęć najmniejszych zmian, nie otworzył głębi tych kolosalnych zadań i możliwości jakie ziemie dolnośląskie winny stworzyć u przedstawicieli nauki i sztuki. Nie mówię tu oczywiście o tych przedstawicielach nauki, którzy pracują tu na placówkach naukowych i twórczą pracą budują nowe oblicze tych ziem.

SENS ROZMÓW PODSŁUCHANYCH

Dla nas, dla dolnoślązaków, sens prowadzonych czy podsłuchanych rozmów ludzi przyjeżdżających tu z wszelkiego rodzaju wycieczkami, ma wartość zasadniczą, wartość opinii publicznej, opinii społeczeństwa powstałej oddolnie, bez powoływania się na od początku nieumiejętnie prowadzoną propagandę. Dla szarego człowieka Dolny Śląsk to dziki zachód, to wciąż jeszcze coś wielce niewiadomego, to coś w rodzaju kolonii na którą zmuszeni są wyjechać ludzie bez dachu nad głową, uciążliwi i bezrobotni. Szary człowiek zna dwa aspekty ziem odzyskanych: szaber i problem niemiecki. Pierwszym i zasadniczym pytaniem szarego człowieka, bez względu na jego przynależność do tej czy innej grupy społecznej, jest zawsze i niezmiennie: ile kosztuje maszyna do pisania i radio, i tu jest tu jeszcze Niemców. W tych dwu podstawowych pytaniach mieści się cały sens świadomości szarego człowieka, jego znajomość problemu zachodniego i jego orientacji gospodarczej.

Najboleśniejszym jest jednak to, że podobnie stawiają sprawę niektórzy publicyści i literaci. Rozmawiałem niedawno z dziennikarzem, który przyjechał na dwa świąteczne dni do Wrocławia i na podstawie kilku przeprowadzonych rozmów zamierzał, jak to sam twierdzi rozpoczynając rozmowę, napisać cykl publikacji o Dolnym Śląsku. Ten dyletantyzm, perspektywa dobrej eksploatacji niezbyt znanego terenu, kawiarniane reportaże i zdobywanie „gruntownego" poglądu na rzecz w przejażdżce kuracyjnej do Puszczykowa czy Jeleniej Góry, u ludzi oddziaływujących swoim słowem, swoją twórczością na szarego człowieka, znajduje właśnie odbicie w sensie przypadkowych rozmów, w opinii szerokich mas społeczeństwa. Szary człowiek nie ma do dnia dzisiejszego dokładnego obrazu Ziem Odzyskanych, szary człowiek nie może zdecydować się do tej pory na psychiczne połączenie Dolnego Śląska z Macierzą.

Szary człowiek widzi tylko szaber i Niemców, nie widzi codziennego dnia, nie widzi twórczego życia i budowy. Szary człowiek gorączkowo pochłania reportaże dolnośląskie i niestety nie znajduje w nich odpowiedzi na setki dręczących go pytań i myśli.

DWIE FILOZOFIE

Wina za taką a nie inną świadomość szarego człowieka, wina za przysłonięcie szerokiej perspektywy historycznych możliwości Ziem Odzyskanych i sprowadzenie problemu do przyziemnej kwestii szabru i resztek Niemców, spada niewątpliwie na świat sztuki, na literatów, na publicystów i dziennikarzy. Metoda odgrzebywania grobowców, sekcja historyczna, ciągłe nawroty w zamierzchłe dzieje nie mogą i nie potrafią związać narodu z ziemiami zachodnimi. Metody te może dobre, dla podtrzymania tradycji, dla świata zamierającego, ale nigdy nie wystarczające dla świata żyjącego, świata pełnego codziennej twórczej dynamiki dnia powszedniego, dnia który w każdej godzinie, w każdej minucie niemal buduje, improwizuje, walczy i zwycięsko pokonuje przeciwności.

Jakże śmiesznie i zarazem tragicznie w ogólnej ocenie sytuacji wygląda reportaż zamieszczony ostatnio w Przekroju (59 nr) o filozoficznych podstawach szabru. Pan Zagórski, jak zresztą i wielu innych już przed nim, ten ginący już, przejściowy aspekt jako czołowy problem ziem odzyskanych stawia przed czytelnikiem. I tu właśnie, w tym dyletantyzmie najelementarniejszych problemów tutejszego życia, w tej pogoni za sensacją u większości literatów tkwi źródło niepewności i bojaźni szarego człowieka. To powierzchowne traktowanie najistotniejszych problemów naszych ziem, odbija się w opinii publicznej, w opinii całego społeczeństwa.

Żaden z literatów i publicystów nie zauważył tu codziennej pracy, tętniącego rozmachem życia, tworzenia się nowego typu obywatela o cechach łączących pionierską twardość i inicjatywę, z wysokim poczuciem odpowiedzialności społecznej, ogromnego hartu osadnika przeorującego własnymi rękoma przydzielona mu ziemię.

Nie zauważono codziennego ścierania się elementu ludzkiego z całej Polski, tego ogromnego kotła dzielnicowego z którego rodzi się nowy typ obywatela o głębokim patriotyzmie i twardości granitu.

Nie zauważono — bo na to trzeba tu być, na to trzeba opuścić łódzkie i krakowskie kawiarnie, wejść między ludzi, żyć ich życiem i ich codziennością.

Zamiast podstaw filozoficznych twórczej pracy i wysiłku, stworzono filozofię szabru, mit dzikiego zachodu Eldorado i Meksyku, z dodatkiem sosu sentymentalno - historycznego.

ŚLĄSK PO RAZ TRZECI

Kiedyś żył z nami i pisywał wierne reportaże Mieczysław Wionczek. Wierne i dobre bo żył z nami, bo przeżywał razem z nami troski dnia powszedniego, bo pisał nie dla eksploatacji terenu a dla budowania i ugruntowania dzieła przyłączenia Dolnego Śląska. Był kronikarzem życia, pisał o twórczej pracy, o tej najistotniejszej sprawie na Dolnym Śląsku. Śląsk po raz pierwszy i drugi opisał Wionczek w tych dawnych już z dzisiejszej perspektywy, czasach, kiedy to garstka zapaleńców poruszając się w gąszczu nieznanych i narastających z każdym dniem problemów i przeciwności, rozpoczynała organizować nowe życie.

Na wielki reportaż, a właściwie na nareszcie dobrą i z gruntowną znajomością napisaną książkę p.t. „Śląsk po raz trzeci" czeka cała Polska. Trzeba opisać i przekazać historii mit nie szabru, ale mit ogromnych wartości narodu polskiego. Trzeba aby pionierska działalność tysięcy nieznanych nikomu, zwyczajnych szarych ludzi tworzących na ziemiach tych nowe życie, została uwieczniona na wieki.

Na Ziemiach Odzyskanych, na Dolnym Śląsku Polacy wykazali nowe zdawałoby się obce nam wartości charakteru. Ogromny zryw organizacyjny, twardość — nie w boju z szabelką — ale w codziennym pokonywaniu trudności nowego życia, zapał — nie przysłowiowy słomiany, a ciągły i niezmienny, nieustępliwość w forsowaniu nowych form życia, oto sprawy domagające się gruntownego przemyślenia i opracowania.

Musi powstać książka niosąca na całą Polskę, na cały świat słowa o szarym człowieku, o nieznanych ludziach z fabryk, kopalń i urzędów. O osadnikach, którzy nie oglądając się na nic, nie czekając na żadną pomoc poszli na zachód, bo wierzyli, że to nasze, że Polskie, i w krwawym pocie zbudowali na ziemiach tych nowe życie, polskie życie wbrew wszelkim przeciwnościom.

OPUSZCZONY ŚLĄSK

W szeregach pionierów, w szeregach budowniczych zabrakło przedstawicieli literatury, zabrakło kronikarzy wielkiego czynu.

Szary człowiek poszedł naprzód, odepchnął koszmarne wspomnienia okupacji i buduje nowe życie. Przedstawiciele literatury żyją jeszcze wspomnieniami, żyją oparami Majdanka i Oświęcimia. Świat literacki po raz pierwszy nie przoduje, gubi się, ciągnie się w ogonie życia, nie dostrzegając i nie czując jego przyśpieszonego tętna i nowych problemów.

Nawet zawsze bardziej konserwatywni przedstawiciele nauki, wyprzedzili na tym odcinku przedstawicieli literatury. Entuzjazm i hart profesorów i młodzieży podniosły z ruin Uniwersytet wrocławski, bronił go jak największej świętości i z ogromnym wysiłkiem doprowadziły oddolnie bez żadnej początkowo pomocy do rozpoczęcia wykładów. Nie pomogą zapewnienia Iwaszkiewicza, wygłaszane z estrady teatru wrocławskiego, że przedstawiciele literatury są z nami, że żyją naszymi sprawami, że tworzą i uwieczniają nowe życie. W wierszach i prozie recytowanych na Zjeździe Kultury, nie czuliśmy rytmu naszego życia, nie widzieliśmy odbicia „wielkiego czynu", nie słyszeliśmy płomiennego entuzjazmu pionierów organizujących życie.

To co przedstawiono nam na wrocławskim zebraniu literatów nikogo nie porwało, nie stanowiło zaczątku twórczości o wielkim czynie narodu. Przedstawiono nam słowa bez mocy, treść bez ducha, bez wiary, treść nie oddającą nawet części wielkiej dynamiki życia na ziemiach odzyskanych.

Wrocław, 11.6 1946 r.

W poprzednim (25) numerze „Kuźnicy" z dnia 1 lipca 1946 r.: **Stanisław Ossowski:** Socjologia w świecie powojennym. — **Georges Duhamel:** Ballada o człowieku ze zranionym gardłem. **Francis Jammes:** Z nogami przy kominku. — **Wacław Borowy:** Prace i wypady anglistyczne. — **Kazimierz Koźniewski:** Na starsze pokolenie — pamflet. **Juliusz Żuławski:** O ideologii w wychowaniu młodych. **Stefan Żółkiewski:** Głos w dyskusji o młodzieży. **Antoni Bohdziewicz:** Gdzie filmowy Achilles ma piętę? **Władysław Dunarowski:** Za grabiami jest świat. — **Irena Filozofówna:** Teatr w piśmiennictwie radzieckim. **Przecław Smolik:** Wystawa prac malarskich Marka Żuławskiego. — **Teresa Tyszkiewiczowa:** Moje wspomnienia o Tytusie Czyżewskim. — **Jan Rojewski:** Siedem dni — **ph:** Przegląd prasy. **Tadeusz Grzebieniowski:** Korespondencja. **Halina Kowalska:** Kłopoty Bęcwalskich i kłopoty z Bec-Walskimi. — Noty.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Refleksje wrocławskie

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że kiedy trzy miesiące temu, na kongresie dziennikarzy Ziem Zachodnich w Poznaniu omawiano program kulturalny tych ziem, musiano się liczyć z niesłychanie ograniczoną ilością czasu i nie wyczerpano sprawy zupełnie, ponieważ program kongresu nie przewidywał omówienia zagadnień kultury inaczej, niż w ramach sekcji poświęconej sprawom narodowościowym; trzy czwarte czasu zajęło tam dyskutowanie zagadnienia niemieckiego, któremu zresztą poza tym poświęcone były rozważania specjalnej sekcji „niemcoznawczej".

Referując wówczas sprawę programu kulturalnego na ziemiach odzyskanych, pisarze śląscy, Szewczyk i Bednorz, ograniczyli się do bardzo skrótowych sformułowań, ale już z nich wynikało jasno, że ich sposób podejścia do zagadnienia otwiera wielkie pole do zasadniczej dyskusji, w której wziąć powinny udział nie tylko Poznań i Katowice, ale także inne ośrodki polskiej myśli, niemniej w obecnym układzie stosunków związane z terenami odzyskanymi niż Górny Śląsk i Wielkopolska.

Nastawienie dawnych, przedwojennych działaczy zachodnich w sprawie programu kulturalnego ziem odzyskanych dałoby się scharakteryzować najkrócej, jako nacisk na specjalną w stosunku do całości rolę dawnych polskich ziem zachodnich, oraz tych skrawków terenów nowych, które, jak Opolszczyznę i Mazury, zamieszkiwała autochtoniczna ludność polska. Dałoby się ono dalej scharakteryzować, jako nacisk na wyzyskanie kulturalnych zasobów i kulturo-twórczych wartości tej właśnie grupy ludnościowej; jako dążność do rozszerzenia typu kultury reprezentowanego przez tę ludność w jak największym stopniu na całość ziem zachodnich i inne, napływowe grupy ludności. W referacie Bednorza podkreślony był szczególnie silnie, jako wysoko wartościowy, typ archaicznej, regionalnej kultury polskiej na Śląsku, sens i konieczność utrzymania go na przyszłość, przez pogłębienie czynnika tradycji rodzinnej i czynnika religijnego, przez przeciwdziałanie zgubnemu wpływowi różnych form społecznej dysocjacji, jakie niesie z sobą na ziemie zachodnie fala ludności napływowej, tradycji tych pozbawiona, rozbijająca dawny styl życia ludności miejscowej i atakująca te jego elementy, które stanowiły o spoistości i odporności na wpływy niemieckie; elementy, od których i dziś jakoby wśród tej ludności zależny jest autorytet kultury polskiej i sprawy polskiej.

Dwa fakty — peryferyjne i uboczne potraktowanie zagadnień kulturalnych, oraz wyżej przedstawione, specyficzne względem nich stanowisko ich referentów — wskazywały na to, że sprawa jest otwarta i domaga się conajrychlejszego poddania pod publiczną dyskusję. Po wyznaczonych na dni 8—11 czerwca Dniach Kultury we Wrocławiu spodziewać się było można, że nadziejom tym uczynią zadość. Czy uczyniły?

Niestety. Zjazd Wrocławski żadnych poważniejszych sformułowań teoretycznych związanych z powyższym zagadnieniem nie przyniósł. Przyniósł natomiast co innego: praktyczny obraz zagadnień widziany w przekroju osiągnięć kulturalnych największego na ziemiach odzyskanych miasta, oraz w postaci próbek tych wartości kulturalnych, jakimi w chwili obecnej reszta Polski zadokumentować może wobec ziem zachodnich atrakcyjność w dziedzinie kultury.

Nie można zaprzeczyć, że obraz ten posiada swoją wymowę. Sprawa nie bez znaczenia dla charakteru zjazdu była okoliczność, że jego miejsce stanowiła stolica największej z dzielnic ziem odzyskanych i największy ośrodek tych ziem. Fakt, że zamienione w zgliszcza i ziejące szczerbami ruin wielkie miasto ukazało się naszym oczom pulsujące życiem; że, jak się okazało, nie odstrasza, ale przyciąga coraz więcej polskiej ludności, licząc już pokaźną jej liczbę 75.000 mieszkańców; fakt, że nie tylko dobrze stosunkowo zachowane dzielnice uniwersyteckie, ale także starożytne, wypalone śródmieście woła coraz liczniejszymi witrynami sklepów, połyskują świeżo wstawionymi szybami, dźwięczy dzwonkami tramwajów, a wieczorem rzuca blask elektrycznych świateł, dowodzi nie tylko, podobnie jak Warszawa, że działania praw położenia gospodarczego pewnych punktów geograficznych nie są w stanie uchylić ludzkie zamachy na cywilizację, ale także i tego, że polskie ziemie zachodnie rozwijają się i krzepną jako pewna przestrzeń żywa społecznie i gospodarczo. Dowodziłoby zupełnego braku zrozumienia istoty procesów dziejowych będących w swej całości procesami kulturalnymi, wyłączanie sprawy przemian społecznych, politycznych i gospodarczych, kształtujących nowe oblicze polskich ziem zachodnich z planowania kulturalnego, z obrazu nowej kulturalnej rzeczywistości na tych ziemiach. Fikcja podziału i niezależnego od siebie traktowania zagadnień „cywilizacji materialnej" i „kultury duchowej" w świetle spraw tak konkretnych, jak organizacja wrocławskich placówek naukowych, obnażona zostaje w całej pełni.

Wrocław zdaje się być miastem skupiającym w sobie jak w soczewce blaski i cienie kultury ziem odzyskanych.

Rozmach z jakim dzięki ofiarnej pracy i wytrwałości grupy jednostek powołano do życia zakłady i instytucje naukowe w spalonym mieście, wkład szlachetnego wysiłku z jakim ratowano ocalałe szczątki dóbr kulturalnych od zniszczeń i grabieży — budzi podziw. Jednocześnie powszechnie znane procesy społecznej dezintegracji i społecznego szkodnictwa napełniają troskami. Jaki należy mieć do nich stosunek? Jaki stosunek mają do nich ci ludzie, którym mamy we Wrocławiu do zawdzięczenia realizowanie możliwości pozytywnej, konsekwentnej akcji tworzenia kultury na odcinku wymagającym najbardziej specjalnych warunków, na odcinku nauki?

Jeden z profesorów wrocławskiego uniwersytetu, kiedy mówiliśmy o powszechnie znanych bolączkach naszego „pionierskiego" życia na zachodzie opowiedział mi historię, pochodzącą jeszcze z solidnych, dobrych, przedwojennych (sprzed pierwszej wojny światowej!) austriackich czasów. Pewien dostawca nadużył najwyższego zaufania dworu cesarskiego, dostarczając do budowy linii kolejowej, stanowiącej prywatną własność dworu cesarskiego, podkłady kolejowe w gorszym gatunku niż te, które były przewidziane w umowie.

Prowadzący dochodzenie w tej sprawie młody urzędnik nie krył swego oburzenia.

— Jak pan się nie wstydzi oszukiwać w ten sposób głowę państwa?

— Młody człowieku — odpowiedział niesolidny dostawca — moralnością nie buduje się linii kolejowych (mit dem Morale baut man keine Eisenbahne).

Anegdota ta krócej brzmi może w przysłowiu „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą" i wiele tłumaczy z zakresu rozwoju realnych podstaw nowego życia na polskim zachodzie. W społecznym procesie jakiegokolwiek twórczego działania na wielką skalę muszą występować fakty będące szkodliwymi odstępstwami od koniecznych i właściwych norm moralnych. Kto tego nie bierze pod uwagę i kto zagadnienie przejęcia terenów opuszczonych przez ośmiomilionową ludność i zasiedlanych na nowo, po największej w dziejach wojnie, uważa za sielankę — ten nie jest realistą. Nie oznacza to oczywiście w żadnym wypadku moralnego usprawiedliwienia nadużyć czy szabru. Przeciwnie. Walka ze szkodnictwem należy do pierwszoplanowych konieczności. Walka ta jednak nie może polegać na ukazywaniu wzorów cnotliwego górnika z Opola w karbach patriarchalnego ustroju rodzinnego, lecz na stopniowej i przez warunki umożliwionej eliminacji odchyleń od norm moralnych, eliminacji, której tempo, przewidziane w planie społecznego działania, byłoby regulowane w drodze należytej społecznej kontroli.

Cytowany przez nas profesor nie należy bynajmniej do tych, których liberalizm wynika z przesłanek osobistych. Jest całkowicie oddany sprawom uniwersytetu i nie ma czasu zajmować się własnymi. Dlatego dotąd nie ma mieszkania i w szabrem płynącym Wrocławiu gnieździ się w dwu ciasnych pokoikach przy jednej z klinik. Będąc jak najdalej od tzw. urzędowego entuzjazmu, pełen jest głębokiej wiary w wartość i sens zadań, w których spełnianiu biorą udział polscy reprezentanci nauki i kultury na ziemiach odzyskanych. Przepraszam — ziemiach zachodnich. W rozmowie profesor zdradził się, że nie lubi terminu „ziemie odzyskane". Jest wrogiem nadużywania argumentów historycznych tam, gdzie tysiąc innych mocniejszych, żywotniejszych walczy z nimi o lepsze i zwycięża.

— Gdybyśmy tylko dlatego, że te ziemie siedemset lat temu do nas należały, mieli na nie wracać, to naprawdę nie mielibyśmy poco! Są powody ważniejsze! I są większe osiągnięcia, niż odkrycie starych piastowskich herbów spod tynku dziejów. Choć i to jest na pewno ważne.

Ostatnio profesor przyjmował we Wrocławiu wielu przedstawicieli świata naukowego z zagranicy. Twierdzi, że nie tylko w oficjalnych wypowiedziach, ale w szczerych prywatnych rozmowach uznanie ich przewyższało akcenty krytyczne. Wysuwane przez naukowców i działaczy polskich zagadnienie deprawacji moralnej, szabru i t. p. bolączek, przybyszom z krajów o wyższej strukturze technicznej, obeznanym z mechaniką zjawisk spo-

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Z KRAJU MILCZENIA

str. 278 zł. 180

WRZESIEŃ 1939 R.
OBOZY
PARTYZANTKA A. K.

łecznych zachodzących przy danych procesach gospodarczych w sposób nieodmienny, nie wydały się tak groźne i niebezpieczne, jak wydają się naszym niektórym rodzimym kaznodziejom, którym jedyną drogą zachowania moralności wydaje się cofnięcie przemian dziejowych i ucieczka w minione lub obecne średniowiecze. Przed samym wyjazdem do Wrocławia wpadła mi w ręce wydana właśnie we Wrocławiu książeczka, cytowana przez „Kuźnicę" w notach, której autor jako zadanie główne w „budowaniu Polski", jak powiada „od wewnątrz", zaleca umartwianie się, marsze po trzydzieści pięć kilometrów i walkę z onanizmem. Książeczka p. Korewy o kształceniu charakteru to karykatura dążeń tych „idealistów", którzy problemy kulturalne Ziem Zachodnich chcieliby widzieć w postaci muzealnych zabytków zamkniętych w szklanej kuli przemijających stosunków ustrojowych. Jakie konkretne propozycje w sprawie programu kulturalnego przynosi życie na Ziemiach Odzyskanych, życie, którego ułamek pokazał nam Zjazd Wrocławski? Czy wskazuje na właściwy typ oddziaływania kulturalnego i kulturalnej ofenzywy na tereny zachodnie? Gdzie leży istotne źródło niedostatków dotychczasowej rzeczywistości kulturalnej na tych ziemiach?

Odpowiedź wydaje się niedwuznaczna. Zagadnienie programu kulturalnego Ziem Odzyskanych jest nieodmiennie funkcją ich rozwoju gospodarczego, ich obecnej sytuacji politycznej i obecnej, zupełnie nowej, struktury społecznej. Program ten niesłychanie ważny jako istota życia polskiego na tych terenach wynikać musi z konkretnych przejawów tego życia i z wyzyskania konkretnych możliwości technicznych, czego przykładem może być rozwój nauki polskiej we Wrocławiu, nowych instytucyj i nowych form życia społecznego. Powiedziałem już, że Wrocław zdaje się być soczewką życia tych ziem. Na jego ulicach akcent lwowski miesza się z zaśpiewami „wilniuków" i twardą mową poznaniaków. Wrocław nie jest miastem śląskim w takim znaczeniu, w jakim śląskie są wytworne czarne stroje i wysokie czapki górników z zagłębia i stary polski modlitewnik, składany gotyckimi czcionkami w drugiej połowie osiemnastego wieku, zachowany w rodzinie opolskiej. Program kulturalny dla ziem zachodnich — to nie zakamarki kultury ludowej, ale wciągnięcie nowych ludzi w orbitę nowych dla nich spraw, to dociągnięcie ich do poziomu kultury ogólno narodowej, to, szczególnie wobec wyższego technicznego uzbrojenia tych ziem, wielki wysiłek i skok naprzód, zwłaszcza w dziedzinie techniki, po to, aby, pracując z tymi ludźmi, którzy tu przybyli i którzy stanowią dzisiejszą kraju tego rzeczywistość, nie zmarnować tego dorobku, jaki zdobyliśmy. Przetrwanie i wartość odporna „prawiecznej" polskości „autochtonów" nie jest dostateczną przesłanką kształtowania nowego programu kulturalnego ziem zachodnich w oparciu o te elementy, dzisiaj w zmienionych warunkach historycznych niedostateczne. Nawiązując do artystycznej treści wrocławskich dni kultury nasuwa się tu przy tym spostrzeżenie następujące:

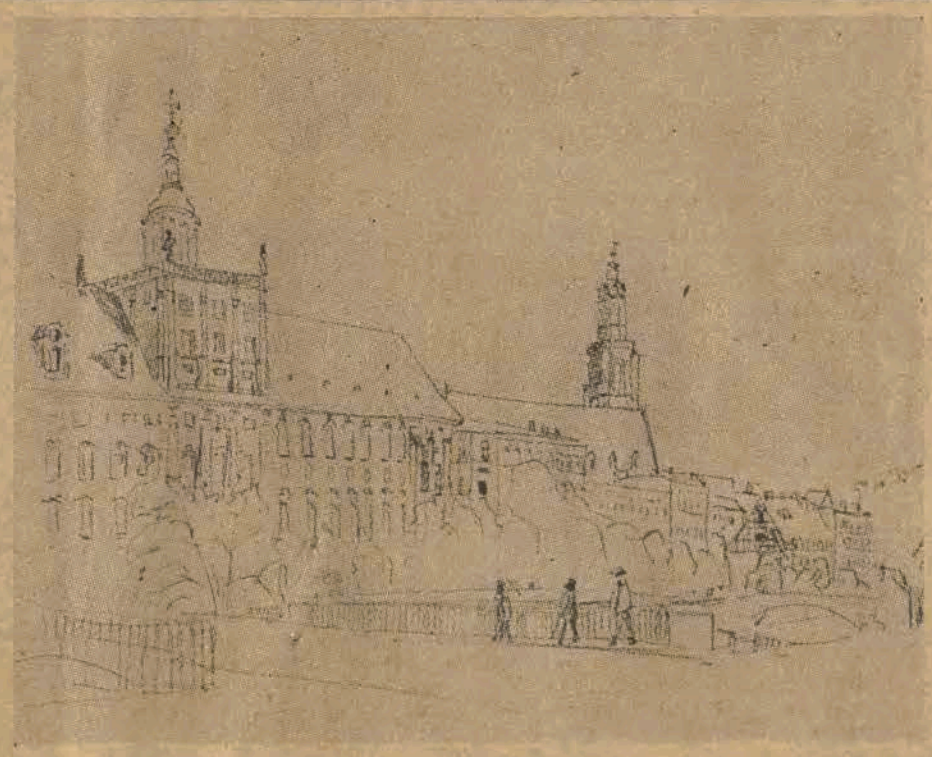

Uniwersytet we Wrocławiu

Posługując się tym, co dać może Ziemiom Zachodnim kultura polska, promieniująca z ośrodków centrum kraju należy dawać rzeczy tylko artystycznie pełne. Zjawiskom mówiącym o realnym zakorzenieniu się kultury polskiej na Ziemiach Zachodnich winny towarzyszyć starannie pomyślane pokazy najwyższych przejawów sztuki polskiej. Wymogom tym na Zjeździe wrocławskim bez wątpienia czyniły zadość — wystawa plastyków krakowskich i przedstawienie szekspirowskiego „Wieczoru Trzech Króli" w wykonaniu Teatru Katowickiego (nie mówiąc o pokazie sztuki obcej w postaci wspaniałego baletu Mojsiejewa). Powiedzieć natomiast niestety trzeba, że organizacja poranku literackiego przez przybyłą na zjazd grupę pisarzy może służyć za przykład, jak imprez podobnych urządzać nie należy. Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby duży zespół literatów z całego kraju nie wystąpił na terenie tak ważnym, z programem zgóry obmyślonym i skonstruowanym, lecz z improwizowanym występem, w którym wybitne utwory poprzedzają względnie mieszają się z grafomanią, nie dając żadnego obrazu współczesnej literatury polskiej, nie mówiąc już o obrazie stosunku tej literatury do zagadnienia ziem odzyskanych, którego nie oddaje w żadnej mierze czczy werbalizm, nawet jeśli operuje patriotyczno-regionalną tematyką.

Ryszard Matuszewski.

JERZY PAŃSKI

NOC I MGŁA

(Na marginesie procesu w Norymberdze)

Niedawno na prywatnym pokazie oglądałem kilka części filmu amerykańskiego „O co walczymy". Jest to obszerna kronika filmowa, ilustrująca źródła i zaczątki zamachu faszystowskiego na wolność i demonstrująca dzieje wojny do chwili wystąpienia Ameryki. Film ten, zmontowany z najwyższym kunsztem, zawiera obrazy o niezapomnianej sile; jednakże w przedstawieniu drogi, jaką faszyzm dochodził do władzy, upraszcza szereg zjawisk, które dla nas, mieszkańców starego lądu, bezpośrednich sąsiadów Niemiec i ich ofiar, wyglądają zgoła inaczej. Ludzkość zawsze miała skłonność do przedstawiania sobie sił rządzących światem w postaci złych i dobrych bogów. Ale bogowie są tylko symbolami tych sił, skupiają na sobie miłość i nienawiść ludzką, lecz nie oni wyrokują o losach świata. Myśmy wiedzieli już na długo przed wojną, że Hitler nie jest tylko złą Babą Jagą do straszenia niegrzecznych dzieci, że nie wystarczy udowodnić, iż doktryna rasistowska pozbawiona jest podstaw naukowych, by faszyzm rozwiał się jak zły sen. Oglądamy na ekranie obrazy agresji japońskiej w Mandżurii i Chinach, napaść Mussoliniego na Abisynię, sceny z Anschlussu Austrii i upadku Czechosłowacji: oglądamy portrety wielkich i małych faszystowskich dyktatorów, fuehrerów na eksport, jak Henlein i Seyss-Inquart, Degrelle, Quisling, ba — nawet Mosley. Ale ani jednym obrazem nie wspomina film o Hiszpanii, i próżno by szukać wśród rasowych hitlerowskich gauleiterów nordyckiego profilu Caudilla. A przecież walka z faszyzmem w Hiszpanii ujawniła najdobitniej społeczny podkład tego konfliktu, który świat rozdarł na dwoje.

Ameryka jest daleko od Europy i przeciętny amerykański bussinessman niechętnie wynika głębiej w istotę mechanizmu świata. Niemcy w filmie amerykańskim są wiecznie tym samym narodem zdobywców i Niemiec 1939 r. niczym się nie różni od Niemca 1914 lub 1870 r. Mimo, że Amerykanie ruszyli na wojnę, by jak głosi film — bronić wolności świata i swojej własnej — wojna była dla nich sprawą strategii: gdyby Francuzi nie sprzeniewierzyli się dewizie Focha „J'attaque", i nie zastosowali taktyki obronnej, nie było by Dunkierki. Bezręki generał Gallieni uratował Francję w tamtej wojnie paryskimi taksówkami: to nie była operacja strategiczna, to była pewność, że Francja nie może zginąć, pewność, której zabrakło Weygandowi i Gamelinowi. Hitler w tym filmie wciąż jeszcze jest porywającym tłumy błaznem, a Niemcy — idącymi za nim posłusznie baranami. Myślę, że żołnierze amerykańscy, którzy widzieli na własne oczy Dachau i Mauthausen, dowiedzieli się o tej wojnie więcej niż potrafili im powiedzieć autorzy filmu.

Film „O co walczymy" nakręcono po to, by żołnierzom amerykańskich sił zbrojnych ukazać prawdziwe oblicze Niemca. Ale korzysta on w tym celu niemal wyłącznie z niemieckich kronik filmowych; wskutek tego ukazuje go — widzianego oczyma samych Niemców. Armia hitlerowska jest w tym filmie tylko wspaniale wyćwiczoną, doskonale uzbrojoną i wyekwipowaną armią, bestialstwa hitlerowskie stają się po prostu okropnościami nowoczesnej wojny, pruski krok paradującego kaprala nie mówi nic o zwierzęciu, ukrytym pod błyszczącym mundurem. Znakomicie podchwycone fragmenty kronik ze szczególnie błazeńskimi minami Hitlera, ze szczególnie kabotyńskimi gestami Mussoliniego, z Goeringiem, który ruchem sklepikarza zaciera ręce po każdym nowym zwycięstwie — nie zastąpią jednego spojrzenia niemieckiego żandarma spod hełmu, tego spojrzenia, które pamiętają chyba wszyscy, co przeżyli okupację.

Obfite cytaty z „Mein Kampf" i innych biblii hitleryzmu demonstrują w filmie zasady moralne, według których wychowywano naród niemiecki; za każdym razem ukazują się zaciśnięte pięści, rozbiegane oczy, spocona twarz Hitlera, który te zasady zaszczepia: znów Hitler, jako zły duch narodu niemieckiego. Ale mężowie stanu rzadziej niż się wydaje są autorami własnych aforyzmów; mówią je przez nich zawsze ci, którzy stoją poza nimi. Jeśli Hitler miał w Niemczech taką władzę, jakiej nikt nie miał przed nim, to dlatego, że przezeń rządzili inni, którzy chcieli rządzić Niemcami. Gdyby dziś Hitler stanął przed norymberskim trybunałem, miałby może większe prawo zasłaniać się Schachtem, niż Schacht, kiedy zasłania się Hitlerem.

Nie ma jednak Hitlera na procesie norymberskim, jak nie ma Himmlera ani Goebelsa. I może dlatego właśnie linia obrony pozostałych hitlerowskich hersztów mimo woli przywodzić musi na pamięć nie które obrazy filmu „O co walczymy". Hitler przez swe zniknięcie nie tylko uniknął sądu; pozwolił mianować się szatanem, odpowiedzialnym za winy narodu.

Proces norymberski trwa już dość długo; obecna jego faza — badanie oskarżonych — nie dostarcza zbyt wiele strawy, nawet żądnej sensacji gawiedzi. Nic dziwnego: to, co powiedzieć może Ribbentrop lub Baldur von Schirach, dla nas nie pc ada już dziś żadnego znaczenia. Słowo tych ludzi nic już na szczęście zdziałać nie może; świat baczniej wsłuchuje się dzisiaj w to, co mówi szach perski lub emir Egiptu, niż wczorajsi panowie świata. Norymberga jest już tylko przeszłością, o której chcielibyśmy zapomnieć jak najprędzej; i depesze sprawozdawców z procesu czytamy jak ciekawostki, jak wiadomości o pani Simpson lub o procesie Sinobrodego Landru. Kiedy Kaltenbrunner, bezpośredni zastępca Himmlera, twierdził w Norymberdze, że nic nie wiedział o masowych egzekucjach w obozach koncentracyjnych, a do Mauthausen przyjeżdżał po to jedynie, by wybrać granit na nawierzchnię dla ulic wiedeńskich — sala wybuchała śmiechem. Ludzie śmieli się — śmieli się z zeznań Kaltenbrunnera! Jakże się musiał zdumieć sam oskarżony na dźwięk tego śmiechu, na ten dowód, żeśmy już zapomnieli, jak to on sam się śmiał, kiedy, „dla kawału" wchodził do komory gazowej!

Nie byłem na procesie norymberskim i nie widziałem publiczności, słuchającej przewodu sądowego. Ale myślę, że gdyby na sali byli tylko ci, którzy przeszli przez piekło hitlerowskich obozów nie śmiałby się nikt. Ten śmiech jest niebezpieczny; początek bowiem bierze z poczucia, że po złym śnie, który nas dręczył, nastąpiło przebudzenie, że koszmar przeminął i znów możemy się śmiać, jak dziecko, które przelękło się tygrysa, a teraz widzi, że to tylko zdarta tygrysia skóra. Śmiech to tym niebezpieczniejszy, że się powolnie układa w łożysku hitlerowskiej obrony, że całe zagadnienie faszyzmu sprowadza do garstki pojmanych, dziś już tylko bezsilnych i śmiesznych bandytów, podpalaczy, gangsterów i zwyrodnialców. „Hitler i wojowniczość niemiecka — oto winowajcy wojny" — mówi film amerykański. „Hitler wydawał rozkazy — mówi oskarżony Keitel — rzeczą wojska było rozkazy te spełniać". To Hitler zakazał Niemcom myśleć — mówi film — i Niemcy myśleć przestali; to Hitler kazał mi ślepo wykonywać rozkazy — mówi Jodl — a ja szanuję władzę: jestem Niemcem. Podobnie bronią się wszyscy inni oskarżeni: byli dobrymi patriotami, pracowali dla dobra Niemiec, spełniali zlecenia przełożonych, a o zbrodniach nie wiedzą — te obarczają tylko sumienie Hitlera, Himmlera i Goebbelsa. Kiedy Kaltenbrunnera pytano o rozkaz, zwany „Nacht un Nebel" — ten rozkaz, który noc i mgłę roztoczył nad całym okupowanym obszarem wschodu, by przed oczyma świata ukryć ziemię niewolnictwa i śmierci — Kaltenbrunner powiedział: „Nacht und Nebel? Skąd się tu bierze termin z Wagnera? To tylko fantazja Goebbelsa".

Obecna faza procesu w Norymberdze nie może budzić żywszego zainteresowania. Długie godziny, krzyżowe pytania oskarżycieli, sterty dokumentów zużywa się na to, by dowieść temu lub owemu z oskarżonych, że po prostu kłamie, że musiał wiedzieć o rozkazach, które sam podpisywał, że nie mógł nie przyłożyć ręki do zbrodni, dokonywanej przez jego podwładnych. Kiedy były minister gospodarki Rzeszy, Funk, upierał się, że nic mu nie było wiadomo o rodzaju wkładów, wpływających do Banku Rzeszy na rachunek SS, zademonstrowano mu film krótkometrażowy: składy, piwnice i safesy piętrzące się stosami złotych zegarków, papierośnic, opraw do okularów, pierścionków, bransolet, kufry złotych spinek do mankietów, worki złotych zębów.

Wszystko to nadchodziło przecież co dzień pociągami z obozów śmierci, wszystko było księgowane rejestrowane, taksowane i skrupulatnie wliczane do zapasu złota, za które Niemcy prowadzili wojnę, Funk aferami giełdowymi, zakazanymi operacjami, oszustwem i kradzieżą tworzył przecież ten zapas jeszcze na długo przed wojną; ale Funk gromadził złoto na Blitzkrieg, a kiedy wojna zaczęła się przewlekać, operacje obozowe stały się jedynym niemal źródłem dopływu walut i kruszców niezbędnych dla rozwoju niemieckiej machiny wojennej. Ale biedny Funk o tym nie wiedział, człowiek, który organizował całe finansowanie wojny, nie wiedział, skąd płyną na nią fundusze, skąd bierze złoto, którym płaci za hiszpańskie czy południowo-amerykańskie surowce.

Otóż choć procedura sądowa tego wymaga, nikomu na całym świecie nie zależy na tym, by dowieść Funkowi, że kłamie; my i tak nie mamy wątpliwości, że wiedział o tym każdy urzędnik Banku Rzeszy, że dzieci mówiły o tym na ulicach Berlina czy Düsseldorfu; i dziś bardziej nas interesują owi urzędnicy i dzieci, niż sprawa prawdomówności człowieka, który jutro będzie wisiał.

Proces norymberski jest procesem zbrodniarzy, którzy wywołali wojnę i zracjonalizowali zbrodnię; ale ludzie zasiadający na ławie oskarżonych są tylko symbolami i z ich śmiercią nie skończy się jeszcze proces faszyzmu. Pośród innych świadków zeznawał również niejaki Lammers, jedna z szarych eminencji Rzeszy, minister i członek tajnego gabinetu. Miał on swoją teorię dla wytłumaczenia masowego udziału Niemców w zorganizowanej zbrodni: jego zdaniem, działał tu po prostu „nawyk państwowy", inaczej mówiąc — wszyscy popełniali zbrodnie dlatego właśnie, że wszyscy je popełniali. W tej teorii, skonstruowanej po to, by konkretną winę z milionów ludzi przerzucić na abstrakcyjny i nieuchwytny aparat państwowy, kryje się przecież ziarno, które trzeba wyłuskać; to

(ciąg dalszy na str 8-ej)

PAWEŁ HERTZ

Dymitr

Zimą 194... roku zwierzęta i rzeczy nieżywe były przychylniejsze emigrantom niż ludzie. I można było prawie zatracić resztki zaufania do człowieka, nie dlatego, że to zaufanie nie mieściło się w ramach moich poglądów. Nie. Byłem daleki od mizantropii, dalszy niż kiedykolwiek. Z Europy wywiozłem prócz kilku przyrządów mechanicznych: płaskiego niklowego zegarka, kupionego niegdyś w Zurichu, srebrnej zapalniczki od Dunhilla, rue de la Paix, i innych drobiazgów, nie stanowiących bezpośrednio o naszym życiu, ale niezmiernie je ułatwiających, otóż z Europy roku 1939 wywiozłem jeszcze przyjaźń dla ludzi. Potrzebę tej przyjaźni, jej istotny sens, który tkwił we mnie, przekázany w dziedzictwie przez wymierający i skazany na zagładę mój gatunek mieszczański, poznawałem wśród tłumów w wielkich salach wiecowych, w rozmowach z dorożkarzami, w robotniczych dzielnicach paryskich, w długich dysputach z emigrantami hiszpańskimi na południu Francji wreszcie wszędzie tam, dokąd zdołałem dotrzeć dla zaspokojenia mojego głodu rzeczywistości. Mój gatunek skazany był na zagładę. Mieszczaństwo jeszcze broniło się, mobilizując najciemniejszych sprzymierzeńców. W tej walce należało zająć jakąś pozycję. Jeśli instynkt, nawyki, przyzwyczajenie, tradycje rodzinne kazałyby mi wystąpić po stronie odchodzących, to przecież wiedza o świecie dawała inne rozwiązania. I jeśli nogami stałem na rzekomo solidnym gruncie mieszczańskim, to jednak do połowy wychylałem się z okna historii, patrząc bez gniewu na idących nam na zmianę. Wszelkie próby zetknięcia się z tym, co w moim środowisku określano mianem „człowieka prostego", a określano tak zapewne, by odjąć mu cechy niebezpieczeństwa, kończyły się bezowocnie. I tylko ja zapewne byłem wzruszony, pokazując robotnikowi reprodukcje Goyi, tłumacząc mu straszliwy sens wojny. Tylko ja zapewne miałem gardło ściśnięte, gdy on, jak dziecko, które uczy się czytać, zaczynał pojmować skomplikowany, a przecież dla niego dużo prostszy niż dla mnie, sens historii. Po tych rozmowach, do których wkładaliśmy tak nierówne kapitały, ja — wzruszenie starszego brata, on — spokojne zdziwienie dziecka, powtarzającego zgłoski, doszedłem do wniosku, że osobiste kontakty są w gruncie rzeczy naiwną filantropią bogatych pań z towarzystwa, haftujących śliniaczki dla dzieci tych samych murzynów, których w koloniach wyzyskują tych pań mężowie, ojcowie i bracia. Wtedy dopiero nastąpił okres, kiedy moja genealogia mieszczańska zaczęła mi przeszkadzać. Ale związany tysiącem cienkich, niewidzialnych nici z moim środowiskiem, nie potrafiłem wyjść poza próby nawiązywania kontaktów z nowym, groźnym światem inaczej niż drogą osobistych zetknięć. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. I tak pozostałem zawieszony pomiędzy dwoma światami, czekając na katastrofę, która, wiedziałem o tym dobrze, wytrąci mnie z tej równowagi i zmusi do decyzji. Nie ja jeden czekałem na kataklizm, razem ze mną czekali młodzi ludzie z roczników nie pamiętających wojny roku 1914, którzy wiele obiecywali sobie po nowej katastrofie. Tak się dziwnie składało, że o katakliźmie marzyli integralni pacyfiści, młodzi surrealistyczni poeci, wyznawcy Coudenhove-Kalergiego, uczestnicy zjazdów paneuropejskich, ci wszyscy, którzy dobrze znali podszewkę całej sprawy, pokazując niewtajemniczonym tylko powierzchnię zręcznie udrapowanej togi. To, co ukrywało się pod jej fałdami, już dawno przestało być posągiem antycznym, a ciągle jeszcze nie było żywym ciałem, bo być nim nie mogło. W tych latach bezpłciowe anioły o twarzach ładnych chłopców z brutalnym piętnem między czołem i łukiem oczu fruwały jeszcze w wierszach żyjących z renty poetów, którzy po południu „au Dôme", albo w „Select" budowali konstrukcje z łyżeczek i spodków. Pani de Beaufort mając od urodzenia niewielki garb, okrywała się ciemno-ponsowymi szalami, by go zamaskować. Widziano ją tego samego wieczoru na koncercie na rzecz niemieckich uchodźców, a potem w męskim domu publicznym na rue de Lappe. Attaché ambasady, który niegdyś napisał dwa cienkie tomiki świetnych wierszy by, pusty i znudzony, nie napisać już ani słowa więcej, wynajmował pokój w hoteliku w robotniczej dzielnicy i przez otwór w lustrze przypatrywał się cudzej miłości. Młodzi malarze jeździli do Włoch, by w klasztorach toskańskich przyjmować dla usprawiedliwienia swojej nudy naiwną wiarę Paola Ucello i malowali obrazy, naśladujące prymitywy. Jeśli by nasza planeta nie była jedyną, na której prawdopodobnie mieszkają przedstawiciele naszego gatunku, to turysta z innej planety zdziwiłby się bardzo, oglądając jednocześnie obrazy Fernanda Leger i zamknięte fabryki, pełne nowoczesnych, nieruchomo stojących maszyn. W porcie Santos topiono kawę. Palono pszenicę. Gdy ktoś nieśmiało zwracał uwagę na bezsens tej procedury, odpowiadano z pobłażliwym uśmiechem, że są to obiekcje romantycznych radykałów. Wierzono razem z bonzami socjalizmu, że nasz ustrój, likwidując drobne ośrodki produkcji, doprowadzi do socjalizmu bez rewolucji. Intelektualistów straszono widmem podpalanych bibliotek i potrzaskanej porcelany. Najuczciwsi mieszczanie żyli w strachu między perspektywami rewolucji i faszyzmu. W sierpniu postanowiłem wyjechać z Paryża. Na Gare de l'Est przybyłem w towarzystwie malarza Stet. i Marcelego Jouh., wybitnego powieściopisarza. Jouh. pomógł mi ułożyć na półkach mój neseser i aluminiową lekką maszynę do pisania, albowiem w owym czasie nawet wiersze pisywałem od razu na maszynie i woziłem ją ze sobą wszędzie. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, ja — wychylony z okna wagonu w ciemny peron dworca, jak w śmierć, od której odjeżdżałem, oni — skupieni, przeczuwając zapewne, że się już nigdy nie zobaczymy. Już wtedy zwierzęta i rzeczy nieżywe były bardziej przychylne emigrantom, niż ludzie. Pomiędzy mną i Jouh., pomiędzy Jouh. i Stet. nie było nic, prócz strachu. Wiedzieliśmy o sobie wszystko i znaliśmy całą naszą nicość. Zapewne geografia i przypadek mają nienajmniejsze znaczenie w kształtowaniu człowieka. Gdybym pozostał na Zachodzie, może współpracował bym z faszystami, jak Jouh., może popełniłbym samobójstwo jak Stet., w małym studenckim hotelu na rue Princesse, tuż koło kościoła Św. Sulpicjusza.

Wtedy na dworcu musieliśmy chyba to wszystko o sobie wiedzieć. Jouh. poznałem w pierwszych miesiącach 1938 roku. Do dziś nie wiem, jakiego rodzaju więzy łączyły go z Stet., który mnie wówczas mu przedstawił. Jouh. był to człowiek lat około czterdziestu, łysy i bardzo brzydki, robił wrażenie nieśmiałego prowincjała, ubrany był źle — nosił zbyt szerokie spodnie, przykrótką marynarkę i jaskrawe krawaty. Wtedy, w 1938 roku zwracałem uwagę na te szczegóły, przyzwyczajony do wąskich spodni, długich wąskich marynarek, z tyłu rozciętych, koloru ciemnozielonego, szarego lub granatowego, bez desenii, do białych lub kremowych koszul o dziwacznych kołnierzykach i do fularowych krawatów. To był inny styl i Jouh., podobno syn bogatego francuskiego chłopa, nie mógł mieć żadnych upodobań do staroświeckiej mody. Co innego Stet., syn Angielki i niemieckiego Żyda, handlarza obrazów. O Stet. wiedzieliśmy właściwie nie wiele. Od czasu mego przyjazdu widywałem go prawie codziennie albo w jego pracowni na poddaszu hotelu na rue Princesse, albo w niedaleko położonej knajpie na rue des Canettes. Stet. przychodził tam często w towarzystwie uliczników i poił ich tanim winem lub cydrem. Twierdził, że to są jego modele i ostatecznie nie wiele nas to obchodziło. Stet. był pokłócony z ojcem, nie korzystał z renty i żył bardzo skromnie, trochę z braku pieniędzy, a trochę przez głęboką przewrotność umysłu, mieszkał w prawie nieumeblowanej mansardzie. Żelazne łóżko, jedno krzesło i sztalugi — to było wszystko. Na ścianach poprzypinane jak bądź szkice Modiglianiego i rysunki Picassa, popstrzone przez muchy. Stet. sypiał do południa, przed godziną aperitifu nie można było z nim rozmawiać, był nieprzytomny, oczy miał podkrążone, ręce mu drżały. Jouh. pociągał zapewne ten stopień daleko posuniętej neurastenii, a może i co innego, Jouh., ożeniony z grecką tancerką niechętnie bywał w domu i opowiadano, że często między nim i żoną dochodziło do scen. Jouh. był widocznie nazbyt nieśmiały, by realizować swoją skrytość wzorem Stet. Dlatego Stet. bez trudu, w ciągu kilku tygodni opanował go całkowicie. Nie wiem, czym kończyły się ich częste wyprawy do podejrzanych lokalików włoskich koło dworca lyońskiego lub do publicznej łaźni „Pod królową Portugalii", cieszącej się dwuznaczną sławą. Książka Jouh. o nieprzetłumaczalnym tytule „De l'abjection", którą czytałem już w bombardowanej W., rzucała pewne światło na dzieje tej przyjaźni. Lektura tej książki wśród huku padających bomb przypominała lekturę wersetów Pisma dotyczących zniszczenia Sodomy.

Niebo sodomskie trwało nad nami poprzez tysiąclecia. Czy byli niesprawiedliwi w Sodomie? Byli. Było ich przeszło dziesięciu i tylko przez usta historii wołali oni głosem tak wielkim, że wydawało się, iż jest ich więcej niż było naprawdę. Sprawiedliwi Sodomy pracowali w fabrykach, orali pola; praca sprawiedliwych zamieniała się, zgodnie ze straszliwymi prawidłami wymiany, jakie obowiązywały w Sodomie, w grzech niesprawiedliwych. Sprawiedliwi łączyli się w związki, manifestowali, konna policja niesprawiedliwych rozpędzała tłum. Niektórzy z nas, wychyleni poza czas sodomski widzieli wyraźnie jego koniec.

Dzisiaj, kiedy upadła Sodoma, chcę opowiedzieć o jednym ze sprawiedliwych, którego poznałem w czasie, gdy zwierzęta i rzeczy nieżywe były przychylniejsze emigrantom niż ludzie.

Mojsiuka, ukraińskiego drwala, poznałem w kilka lat potem, gdy zawaliło się na mnie niebo sodomskie, na mnie, który je sam tak długo podtrzymywałem. Wtedy, w roku 194... obraz Stet. i Jouh. zatarł się już zupełnie w mojej pamięci. Sam byłem niepodobny do siebie dawnego. Ręce miałem twarde, twarz spaloną od wiatru i słońca; książek i obrazów nie oglądałem przez dwa lata. Nie miałem nawet ochoty powracać do czasów sodomskich. Rąbałem drzewa, obcinałem ostrą siekierką gałęzie. Odpoczywałem przy ognisku, rozpalanym po to, by uchronić się od komarów.

Mówiłem w obcym języku bez trudu, mój język ojczysty wracał w pamięci w czasie odpoczynku. Razem z innymi wołałem głośno: „Kalundra!" ,Był to okrzyk niewiadomo z jakiego języka wzięty, a używany przez drwali w chwili, gdy podcięte drzewo ma zwalić się na ziemię. Tego dnia przesłano mnie na inny punkt wyrębu, odległy o trzydzieści kilometrów od mego dotychczasowego miejsca pracy. Szedłem lasami, nie pamiętałem niczego, prócz nowych widoków—zorzy polarnej, dwudziestoczterogodzinnego dnia, nieco tylko zmierzchającego, bardzo malachitowych gór, które widziałem z mojej pryczy, gdy usypiałem po pracy. Nie pamiętałem żadnych ludzi, których kiedyś znałem, ani twarzy, ani głosów, ani rąk. Nie pamiętałem niczego, co było dawniej. Było to jakieś doskonałe odrąbanie korzeni, pełne odszczepieństwo. Z moimi towarzyszami żyłem raczej dobrze, ale z daleka. Oni nie wiedzieli o mnie nic, ja wiedziałem o nich prawie wszystko. Poznawałem ich po ruchach, po mowie, wiedziałem o nich w każdym razie więcej, niż oni o mnie. Byłem cudzoziemcem, emigrantem. Pracowaliśmy jednak razem, jedliśmy razem, spaliśmy obok siebie. To wystarczyło, by przekreślić istniejące na początku niechęci. Oni niewątpliwie wiedzieli, że nie jestem przyzwyczajony do fizycznej pracy. Mimo to udawali, że tego nie widzą, szanowali moje milczenie i nie pytali mnie, kim jestem, ani skąd przybyłem. Starali się nawet tuszować moją nieumiejętność pracy. Robili to tak, jak robi to pani domu, gdy niezgrabny gość wylewa kieliszek wina na biały obrus.

Często starali się mi pomóc, czyniąc to jednak tak, bym tego nie zauważył. — Wyrażało się to w drobnych, na pozór nic nie znaczących przysługach. Na przykład w naostrzeniu siekiery. W naciągnięciu piły. Były to gesty, które bardzo ceniłem. Nie dawano mi nigdy do zrozumienia, że korzystam z pomocy. Żałowałem, że oddzielono mnie od tych ludzi, z którymi już się zżyłem. Byłem trochę zaniepokojony i myślałem o tym, czy moi nowi towarzysze będą do nich podobni.

Dopiero pod wieczór wszedłem na niewielką polankę, na której stały baraki.— Przez niedomknięte drzwi widać było świa tło naftowej lampy. Wszedłem. Prosto w znajomy zapach obozowego życia: potu zmieszanego z żywicą. Dwupiętrowe pryczе wypełniały cały barak, pozostawało tylko wąskie przejście między ich rzędami. Z górnych kondygnacji zwisały nogi obute lub bose. Palono machorkę, opowiadano sobie z cicha jakieś ważne sprawy, z charakterystycznymi gestami ludzi prostych. Są to gesty jednakowe dla hamburskich dockerów, tulońskich marynarzy i piaskarzy nadwiślańskich. Podpatrywałem je nieraz. Były takie same, gdy mówiono o jednakowych sprawach, chociaż mówiono w innych językach.

Ci, którzy znają życie obozowe, wiedzą zapewne, że prycze górne są bardziej cenione, niż dolne. Na górnych pryczach życie można sobie ułożyć niezależnie od otoczenia.

Nic dziwnego, że starałem się znaleźć górną pryczę. Szedłem wzdłuż wąskiego przejścia. W pewnej chwili zatrzymałem się, ciągle jeszcze nie zauważony przez nikogo i wdrapałem się na górę. Na jednej z prycz ktoś leżał, obok puste deski świadczyły o tym, że prycza jest wolna. Położyłem ostrożnie mój węzełek w głowach pryczy i usiadłem, opuszczając nogi w dół. Na dole powoli zamierały rozmowy, widocznie dopalała się lampa; przez uchylone drzwi widać było zmierzchający tylko na kilka godzin dzień, za którym nie było nocy. Powoli zdejmowałem buty, stawiając je ostrożnie koło ściany i zasłaniając węzełkiem. Zdjąłem kurtkę i spodnie, które posłałem sobie zamiast prześcieradła. Kurtką zamierzałem się okryć. Przypuszczałem, że następnego dnia otrzymam koc i poduszkę wypchaną słomą—taką samą pościel, jaką miałem w poprzednim miejscu pracy, a jaką tu zauważyłem u mego sąsiada. Ten widocznie spał, twarz miał zakrytą kocem. Leżał na wznak, spod koca widać było tylko czarne włosy, rozrzucone po brudnej poduszce: czarne i bardzo błyszczące. Zapaliłem papierosa. Trzask fosforu wyrwał mojego sąsiada z półsnu. Poruszył się, wyprostował, siedział teraz półnagi na pryczy, odgarniał włosy z czoła, prostował ręce. Muskuły na piersiach zarysowały się wyraźnie—przez to piersi były wypukłe jak dwie tarcze, przedzielone wąską strzałą ciemnego zarostu. Wreszcie, obudzony odwrócił ku mnie głowę. „Skąd jesteś?" — mówił po ukraińsku ale akcent był mi obcy, dotychczas niespotykany. Wymijająco podałem mu nazwę punktu wyrębowego, z którego przyszedłem, unikając w ten sposób określenia mojej narodowości. Robiłem to celowo, nie wiedząc z kim mam do czynienia i nie chcąc na razie prowadzić bardziej obowiązujących rozmów. Wolałem pozostawić bliższą znajomość czasowi i wspólnej pracy. Patrzył teraz już nie na mnie, lecz na dym z papierosa. „Daj!" — rzekł krótko, rozkazująco i wyciągnął rękę po ogarek. Powoli zaciągnąłem się raz jeszcze i oddałem mu skręconą w gazecie machorkę. Nie podziękował. Palił teraz łapczywie, wreszcie rzucił niedopałek na ziemię. Z dołu dobiegło mnie przekleństwo i szelest koca. Widocznie niedopałek spadł na dolną pryczę. Mój sąsiad położył się znowu, tym razem twarzą do mnie. Widocznie mnie obserwował i cieszyło go zapewne moje zakłopotanie. Milczał. Wreszcie, nie chcąc pierwszy nawiązywać rozmowy, położyłem się również. Było mi niewygodnie, kurtka okrywała tylko piersi, nogi miałem bose, w baraku było już chłodno. Naciągałem bezskutecznie kurtkę na nogi odsłaniając w ten sposób górną połowę ciała. Po chwili mój sąsiad podniósł się, przesunął swój siennik na środek pomiędzy dwie złączone ze sobą prycze, ułożył obok siebie swoją poduszkę i mój węzełek, strzepnął koc i ręką wskazał mi tak przygotowane posłanie, zostawiając mi połowę miejsca. Położyłem się obok niego. Okrył mnie starannie kocem. Za chwilę spał już, oddychając miarowo. Ten rytm był tak muzyczny i sugestywny, że przestałem na chwilę oddychać, by lepiej usłyszeć tę uspakajającą muzykę.

Wszystkie noce dotychczasowe mijały bez snów. Zasypiałem — jak kamień spada w nieruchomą wodę. Sprawy dzienne odpływały koncentrycznie, na kształt wodnych kręgów, zmęczenie spychało mnie niżej tych ciśnień, w których jeszcze prosperuje senne marzenie. Tej nocy spałem niespokojnie, jakby zaledwie do połowy zanurzony w stan snu.

Jouh. i Stet. wracali raz po raz w realistycznych obrazach i tylko pomieszanie realnych elementów sytuacji pozwalało mi mniemać, że to, co widzę, to tylko sen. Jouh. i Stet. ukazywali się jako drwale pracujący ze mną w lesie. — Las rósł na rogu bulwaru Montparnasse i Raspail. Pasowaliśmy razem chleb w małym bistro mieszczącym się tuż za Cafe du Dôme: Jouh. był ubrany w watowe, zimowe spodnie, a Stet. trzymał paletę i farby. Wszyscy mówili po rosyjsku, co mnie zdziwiło nawet we śnie. Ten dziwaczny film trwałby zapewne dalej, gdybym nagle nie został obudzony kilkoma szturchańcami. Mój nocny sąsiad wstał chyba już dawno, gdyż teraz, całkowicie ubrany siedział po turecku na pryczy: przed nim stały dwa cynowe kubki i leżały dwie porcje chleba, starannie podzielone widocznie z jednego kawałka. Budziłem się niechętnie, udawałem, że jestem bardzo zaspany, chciałem mieć dość czasu by mu się przyjrzeć. Nie mogłem ocenić jego wzrostu; wydawał się jednak wysoki, gdy tak siedział nieco pochylony. Poranne światło jeszcze bardziej zaznaczało głębokość czerni jego włosów. Twarz miał grubo ciosaną, ale doskonały łuk zrośniętych brwi dodawał jej dziwacznego uroku. Mój towarzysz wyglądał trochę jak bokser nie

Mojsiuk

Marii i Kazimierzowi Brandysom

zmasakrowany jeszcze w długich i częstych walkach. Miał dwadzieścia pięć — sześć lat. Ubrany był w zieloną koszulę, starannie połataną, otwartą u szyi, co łagodziło profil szerokiego, trochę wypukłego karku. Spodnie wpuszczone w wysokie buty były tak obcisłe, że kształt kolan zarysowywał się wyraźnie. Patrzyłem teraz na jego rękę, cofającą się właśnie od mojego ramienia, którym potrząsała przed chwilą. Ręka była duża, szeroka, mocno osadzona w przegubie. Na zewnętrznej stronie dłoni nad zatoką, stworzoną przez rozchylenie kciuka i wskazującego palca, zauważyłem niebieski, wyblakły nieco tatuaż: Dymitr. Nie mogłem już dłużej udawać snu, tym bardziej, że Dymitr po drżeniu moich wpółprzymkniętych powiek z wrodzoną swojemu gatunkowi przebiegłością poznał, że nie śpię i że go obserwuję. Naśladując jego ruchy z poprzedniego wieczoru podniosłem się powoli, przeciągnąłem się leniwie, ziewnąłem kilka razy dla podkreślenia, że właściwie nic mnie nie interesuje i że pochłania mnie tylko proces wynurzania się z mojego snu. Z dawnych moich wspomnień o wspólnych snach pamiętałem, że śpiący po nocy, która, jak archeolog błędnie rekonstruujący antyczną grupę, plątała ich członki, wiązała smukłe nogi i rozwinięte jak skrzydła ramiona, budzili się nad ranem oddzielnie, odwróceni od siebie, rozplątując gordyjski węzeł muskułów i śniadej skóry. Ten poranek nie był podobny do paryskich poranków, kiedy budziłem się w małym hotelu na rogu ulicy Germain Pilon, powoli podnosiłem ciężkie portiery z nad okien i w pierwszych światłach świtu obserwowałem twarz śpiącej. Nie wiedziałem nigdy, którędy biegnie jej sen, jakimi krętymi korytarzami dziecinnych wspomnień błądzi, gdy uśmiecha się rzewnie, nic o tym nie wiedząc.

To był okres, kiedy stworzyłem sobie całą mitologię snu, nie oddzielałem go prawie od rzeczywistości i wszystko było tak od siebie zależne, jak życie i śmierć, jak człowiek i jego cień, ostro zarysowany na chodniku o zachodzie, jak twarz i lustro, które ją odbija. I granica między rzeczywistym i nierzeczywistym, między twarzą i jej odbiciem, zacierała się coraz bardziej. Dzień był już tylko poczekalnią nocy. Antyszambrowałem wniej w moich staromodnie skrojonych abrankach, w kawiarniach St. Germainu albo za stołem bibliotecznym. Czasami szedłem do Louvru i w twarzach malowanych przez prymitywów odnajdywałem elementy twarzy widzianych we śnie. Był to okres trudny. Obserwowałem, jak powoli zapadam w dziwaczny stan między jawą i snem. Jednocześnie pojawiły się konkretne oznaki chorobowe: obawa przestrzeni, lęk przed otruciem, nocami rzeźba, którą ustawiłem w moim pokoju schodziła z postumentu, słyszałem głosy i widziałem dawno zapomniane sceny z dzieciństwa. Stół, który był namiętnym palaczem opium, lecz palaczem wyrafinowanym, miał stałego lekarza, który nad nim czuwał, wprowadzając w ten sposób pewną metodę i organizację w szaleństwo malarza. Ze mną kilka razy w tygodniu prowadził seanse lekarz psychoanalityk. Wreszcie zniecierpliwiony ustawiczną kontrolą nad moim snem i obawiając się, że zostanę uleczony, to znaczy wytrącony z dziwacznego marzenia, w którym żyłem, postanowiłem wyjechać z Paryża. To było zaledwie na kilka tygodni przed wojną.

Dymitr podał mi cynowy kubek i kawał chleba. Uśmiechnął się przy tym dobrodusznie. „Jedz, już późno, zaraz wyjdziemy na robotę. Mówiłem już z brygadierem. Będziesz pracował ze mną". Ta natychmiastowa decyzja, w dodatku tak całkowicie jednostronna, nieco mnie zdziwiła. Praca z Dymitrem była o tyle żenująca, że nie mogło być mowy o równym wkładzie sił. Dotąd pracowałem sam, uniezależniony od kogokolwiek, odpowiadałem za ilość i tempo pracy tylko przed sobą. Wspólna praca nakładała obowiązki, wiązała i uważałem za stosowne uprzedzić Dymitra o tym, że w mojej osobie nie znajdzie równego partnera. — „Nie wiesz przecie jeszcze jak ja pracuję. Lepiej jeśli narazie będziemy pracowali oddzielnie. Do południa nie spiłuję więcej niż pięć sosen. Oczywiście razem z odrąbywaniem gałęzi i okorowaniem" — dodałem pośpiesznie, widząc cień zawodu w jego oczach. Było mu przykro, że sam oceniłem swoje siły niżej niż on, ale wiedział, że mówiłem prawdę. Trochę się teraz wstydził swojej przedwczesnej propozycji, nie bardzo wiedział, jak się z tego wycofać z honorem tym bardziej, że ja sam otworzyłem mu odwrót. Pił kawę małymi łykami nie odrywając kubka od ust. Wreszcie odstawił kubek, otarł wargi wierzchem ręki, ruchem, jaki tyle razy obserwowałem u ludzi prostych, tym samym ruchem, który od wielu miesięcy zastępował mi białą, cienką serwetkę, zatkniętą za kamizelkę. Uważnie śledząc siebie w okresie przechodzenia z jednej sfery do drugiej w związku ze zmianą mojej sytuacji i gatunkiem wykonywanej pracy, doszedłem do przekonania, że wszystko w nas jest zależne od takiej lub innej pozycji w systemie produkcji.

Zatracałem powoli wszystkie gesty, które określiłbym jako gesty rentiera, przybierając stopniowo ruchy człowieka pracy, chociaż nie pokrywało się to jeszcze z wnętrzem, które, pełne wspomnień i obrazów przeszłości rentierskiej, pozostawało niezmienne, a w każdym razie wykazywało słabe tendencje do zmiany równoległej ze zmianami zewnętrznymi. Wiedziałem doskonale, że tak długo, jak długo nie będę zupełnie przekonany o niepowrotności dawnego, o całkowitej likwidacji mojej poprzedniej bazy, tak długo nie nastąpi pełna przemiana. Nawet ruiny minionego czasu mogłyby mnie przyciągnąć, mógłbym w nich szukać dawnych kształtów. Zdawałem sobie już wtedy sprawę ze straszliwej błahości dawnego życia. Stosunki z prostymi ludźmi, które kształtowały się na platformie tej samej pracy i jednakowej sytuacji materialnej w niczym nie przypominały inteligenckiej filantropii dotychczasowych moich prób wyjścia poza własną sferę. Oczywiście: byłem i pozostałem mieszczańskim inteligentem, na to nie było rady i to zresztą przestało być mi ciężarem z chwilą, kiedy straciłem materialne związki z podłożem, na którym wyrastałem i które mnie żywiło. Najważniejsze było to, że dotychczasowy mit o prostym człowieku stał się czymś realnym. Z chwilą kiedy Anteusz dotyka ziemi, mit przestaje być mitem; Anteusz podlega wszelkim prawom ekonomji i socjologii, które zmieniają się w zależności od układu sił. Moje rozmyślania przerwał Dymitr: „Już czas, weź narzędzia, piłę trzeba będzie naciągnąć, obluzowała się wczoraj" — mówił to tak, jak byśmy pracowali razem od dawna. Nie sprzeciwiałem się. Wyszliśmy z baraku na niewielką polanę. Las stał półkolem, jak amfiteatr, polana była areną, tam, gdzie nie było drzew, gdzie stok wzgórza opadał gwałtownie w dół, widać było niebo i zmniejszony odległością masyw górski koloru malachitowego. „Ural!" — Dymitr patrzył na krajobraz jak gospodarz. Widziałem teraz jego profil na tle dalekiego pejzażu, prawie geometryczny, przypominający nowoczesne afisze. Jednocześnie dziwaczna proporcja między ogromnym krajobrazem, którego szczegóły były zatarte, a dokładnym rysunkiem tego profilu, przypominała włoskich prymitywów, kontrastujących dwa plany. Dymitr zawrócił i szliśmy teraz wąską ścieżką, którą widocznie znał dobrze. Rozmowy nasze do tąd były właściwie monologami. Dymitr wydawał polecenia, które spełniałem mechanicznie, odpowiadając krótko. To wszystko, co myślałem, nie mogło być zakomunikowane. Po prostu nie potrafiłem znaleźć formy w jakiej mógłbym mu powiedzieć to, co myślę, a przede wszystkim peszyło mnie, że myślę o rzeczach powstających na marginesie rzeczywistości, odrastających od niej, jak gałęzie od drzewa.

Naciągałem piłę tak nieumiejętnie, że zniecierpliwiło to zapewne Dymitra. Wyrwał mi piłę z rąk i bez słowa sam ją naciągnął. Usprawiedliwiłem się niezgrabnie i bez przekonania. Pracowaliśmy do południa z małymi przerwami na papierosa. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą, liczyłem na dłuższą rozmowę wieczorną. Wróciliśmy jednak tak zmęczeni, że zasnęliśmy bez słowa.

Dni mijały teraz jednostajnie. Mówiliśmy o pracy, o zarobkach, o końcu wojny i o powrocie do domu. Dymitr o sobie opowiadał niewiele, a o moje sprawy nie pytał, jakby go to wcale nie interesowało; wolałem raczej unikać opowiadań o sobie, nie chcąc potwierdzać jego przypuszczeń, że właściwie nie wiele mamy ze sobą wspólnego. Sądziłem, że takie przypuszczenia musiał snuć z mojego sposobu pracy, zachowania się, mówienia, z tysiąca szczegółów drobnych, ale ważnych, po których rozpoznaje się przynależność człowieka. Okazało się niebawem, jak bardzo się myliłem. Byłem przyzwyczajony do innego kwalifikowania ludzi — ci z którymi i wśród których żyłem długie dwadzieścia lat, przywykli oceniać ludzi po ich cechach zewnętrznych, po tych tylko, które ujawniają się w zetknięciu z innymi ludźmi tego samego kręgu. Wymagana była konwencjonalna grzeczność—wśród drobnych mieszczan, z których pochodziłem, miało się prawo być ordynarnym wobec służącej, ale nie wolno było zasiąść za stołem póki, patriarchalnym zwyczajem, nie zasiadł za nim ojciec. Na samym szczycie piramidy niesprawiedliwych stali ludzie, którzy okazywali niewiele szacunku innym, trochę tylko niżej od nich ustawionym, za to najbardziej byli ugrzecznieni wobec służby. Zdaje mi się, że ci najniesprawiedliwsi mieszkańcy Sodomy mieli lepiej rozwiniętą świadomość czekającej ich zagłady i z góry starali się zaskarbić sobie łaski sprawiedliwych.

Dymitr cenił ludzi inaczej. Bardzo się myliłem, sądząc, że mogę zdradzić przed nim swoją odrębność. O tym nie mogło być mowy, bo mój towarzysz doskonale o tej odrębności wiedział i na swój sposób ją szanował. Miał po temu swoje uzasadnione powody. Szacunek ten nie polegał jednak ani na lęku, ani na poczuciu własnej niższości. Gdzie jak gdzie — ale w głębi Uralu, w swoim leśnym żywiole, Dymitr czuł się o wiele pewniej ode mnie.

Szacunek, jaki dla mnie żywił, polegał na świadomości istniejącego podziału na tych, którzy nie potrafią rąbać sosen ani ostrzyć piły i tych, którzy nie potrafią czytać, ani nie wiedzą o świecie nic więcej nad to, co widzą wokół siebie. A Dymitr chciał właśnie wiedzieć o świecie więcej niż widział.

Dlatego nasze monotonne dni zaczęły się zapełniać rozmowami. Z początku rozmowy polegały na dialogu: Dymitr zadawał krótkie pytanie, w którym nieporadnie starał się zmieścić swoją ciekawość, natomiast mnie przypadała rola chóru, odpowiadającego wielogłosową kantatą pojedyńczym akordom organów. Wszystkie dawniejsze rozmowy prowadzone w Sodomie były zupełnie bezcelowe. Przypominały dialogi z jakiejś, nie pamiętam już jakiej, sztuki Wilde'a, gdzie osoby z towarzystwa mówią o pogodzie. W dawnych rozmowach, osoby rozmawiające były właściwie tylko kopiami jakichś wzorów: Lucjana de Rubempré, Doriana Graya, Barnabootha, klasycznej incomprise'y, albo w najgorszym wypadku spotkanej na bulwarach damy kameliowej; z góry było wiadomo, co kto powie i co kto może na to odpowiedzieć. Pamiętam rozmowy na Colloseum w Rzymie i przed obrazami w Louvrze i u Ritza i po wieczorze poetów surrealistów, rozmowy o katolicyźmie i o planie pięcioletnim, o nowych modelach od Wortha i o teorii względności. Wszystkie były tak samo z góry opracowane, jak nasze stroje, jak nasze miny, przybierane zawczasu przed wejściem do salonu, jak nasze całe kończące się duszne życie sodomskie, które miało tylko dwa finały: odmienić się albo zginąć. Ta straszna świadomość, jeśliśmy ją mieli, nakładała na nas obowiązek milczenia o sprawach najważniejszych. Milczeliśmy tak długo, póki nie zagadały armaty.

Jeśli poprzednio poświęciłem tyle miejsca snom i znaczeniu snu, jeśli opisywałem czas wspólnego usypiania i czas przebudzenia, to tylko dlatego, że w owe lata w snach przychodziły prawdy, skrzętnie przemilczane za dnia, a dwa ludzkie, nieme ciała spoczywające obok siebie na chłodnym prześcieradle, jak na marmurowej pokrywie starożytnego sarkofagu, żyły bez kłamstwa. Prócz snu były również inne próby ucieczki od kłamstwa: w tych latach nastąpił prawdziwy exodus. Drogi ucieczki prowadziły w rozmaite strony: do krajów kolonialnych, do zakrystii Saint-Germain-des-Prés do faszystowskich szeregów, na wiece w Hyde-Parku, na ludowe kiermasze i na drewniane sale, których pełno było w Sodomie — od rue de Lappe do śmierdzących szynków na Pradze.

To były próby nawiązania kontaktów z prawdziwymi ludźmi, ale nie mogły się udać, bo w ich założeniu leżała niechęć do zmiany samego siebie.

I dopiero czas, ten sam, który nadał białą barwę malowanym posągom Greków i rozsypał w proch wysokie łuki rzymskich akweduktów, ten sam czas zrzucił nas z górującej nad Sodomą piramidy, zmienił nam głos, pokrył ręce brudem, a twarz opaleniźną, i tak, zmieniając powoli i drążąc naszą umarłą powłokę, postawił nas przed prawdziwym światem i kazał patrzeć uważniej niż dotąd.

Moje złudzenie co do tego, że Dymitr nie wie o mojej odrębności, wynikało oczywiście nie z mojej wiedzy o nim, ale z niewiedzy, bo okazało się, że go po prostu nie doceniałem.

Tego wieczoru przyszła, jak co miesiąc, poczta. Listów nie otrzymywałem nigdy, ale zazwyczaj pisywałem je dla moich towarzyszy. Były to krótkie, zdawkowe zdania: przy całej swojej dobrej woli nie potrafiłem nigdy zdobyć się na nic obszerniejszego. Okazało się, a było to jeszcze jedno odkrycie, jakie dane mi było zrobić w ciągu tych lat, że potrafię doskonale opowiedzieć treść jakiejś książki, ale nie umiem nic powiedzieć o prostym, widocznym obrazie świata.

Jednak piękna sztuka pisania, którą władałem w odróżnieniu od większości moich towarzyszy, była mi bardzo przydatna. Zwłaszcza okazała się pożyteczna na nowym miejscu. W baraku tym bowiem byli przeważnie zakarpaccy ukraińcy; demokratyczna republika czechosłowacka, której przez dwadzieścia lat byli obywatelami, nie udostępniła im umiejętności władania piórem. Co zrobić z listem, który się otrzymało? Trzeba go przeczytać, a potem odpowiedzieć. O tym wie każdy: drwal z Zakarpacia, tak samo jak bankier z Sodomy. Dymitr wiedział także i dlatego pewnie przyszedł do mnie z listem, na który trzeba było odpowiedzieć. Zapytałem go, skąd wie, że potrafię pisać. Uśmiechnął się tylko tak samo, jak uśmiechał się wtedy, kiedy nie mogłem sobie dać rady z piłą albo, gdy niosąc bardzo ciężkie drzewo na stromy brzeg rzeki, po której się je potem spławiało, przystawałem na chwilę, żeby odpocząć. Dymitr uśmiechał się wtedy ledwie dostrzegalnie, może nawet myślał, że nie widzę tego uśmiechu. Ten uśmiech był mieszaniną współczucia, dumy własnej i świadomości, że mimo mojego całkowitego przystosowania do otaczających mnie ludzi i warunków, istnieje przecież jakaś różnica między nim, Dymitrem, który jest drwalem od dzieciństwa i mną, który nigdy dotąd nie pracował. Ale Dymitr nie klasyfikował mnie wskutek tego niżej od siebie. Tym uśmiechem stwierdzał po prostu istniejący stan rzeczy. A może trochę cię cieszył, że mimo wszystko zdradzam siebie prawdziwego. Podał mi list tak jak podawał narzędzia. Spokojnie, bez zniecierpliwienia — wiedział przecież, że lepiej wywiążę się z tego zadania, niż z prac, które wykonywaliśmy razem. Zapewne moje gesty świadczyły również o większej pewności siebie, niż kiedy brałem z jego rąk piłę albo siekierę, bo Dymitr znowu się uśmiechnął — tym razem szerzej i z widocznym zadowoleniem. Tak uśmiechamy się do siebie nieraz na koncercie, kiedy pianista po nieudanym wykonaniu pierwszego utworu, zagra świetnie następny. Przypominamy sobie wtedy, że ten pianista Liszta grywa źle, ale za to jest świetnym wykonawcą Bacha.

Tego wieczoru napisałem kilkanaście listów. Z początku zamierzałem pisać każdy inaczej — była w tym próżność człowieka władającego słowem — ale spotkało się to ze sprzeciwem moich klientów. Uważali, że nie można w każdym liście pisać czego innego, skoro ich życie i praca są jednakowe.

W ten sposób, dając dowód, że posiadam piękną sztukę pisania i czytania, zostałem przesunięty na wyższy szczebel barakowej hierarchii. Zrozumiałem wtedy władzę, jaką sprawuje szaman nad plemieniem lub ksiądz nad parafianami. Rozumiałem jednak również, że nie wolno mi zawieść tego zaufania i nie wykorzystywałem moich potencjalnych przywilejów. Drwale, którzy przedtem dawali Dymitrowi do zrozumienia, że popełnia właściwie rzecz nierozsądną, pracując ze mną do spółki i którzy nieraz obserwowali nasz nierówny wkład pracy i skrupulatnie czyniony przez Dymitra równy podział żywności —ekwiwalentu pracy, — uznali, że wszystko jest w porządku. Minęło kilka dni. Sprawą umiejętności czytania i pisania zeszła na plan drugi wobec nowego zagadnienia. Wyrąb lasu odbywał się teraz dość daleko od brzegu rzeki, na którym składano przygotowane do spławu pnie — pracowaliśmy na niewysokim pagórku. Ręczny transport drzewa na brzeg rzeki stawał się uciążliwy. Dla mnie zaś prawie niemożliwy. Dymitr wydawał się zupełnie zadowolony z losu, odległość mu nie przeszkadzała, godził się chętnie na częstsze przystanki w czasie przenoszenia pni, chociaż pochłaniało to coraz więcej czasu.

Tej nocy przypomniałem sobie odę Dzierżawina o posągu, staczającym się ze stopni schodów. Była to jedna z pierwszych prób onomatopei. Obok oddychał równomiernie i głęboko Dymitr. Ten oddech wplątał się w skandowaną strofę klasycznego wiersza i był jak cezura. Zacząłem powoli zasypiać, myśląc już o czymś innym. O nieprzydatności wiedzy o poezji na stokach Uralu, u wrót tajgi. I wtedy zobaczyłem nagle zamiast staczającego się ze schodów posągu, toczące się spokojnie sosnowe pnie.

Następnego dnia ustawiliśmy z Dymitrem, który od razu zrozumiał mój plan, szyny z prostych i cienkich choin,

uprzednio dokładnie oczyszczonych z sęków. Szyny wiodły z poręby prosto nad rzekę. Po tych drewnianych szynach bez trudu można było przetoczyć przy pomocy użytego jako lewar kija, najcięższy choćby pień.

Było to drugie moje zwycięstwo, którym dobrze się zasłużyłem zakarpackim drwalom. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem wartość nauk stosowanych. Dotąd wszystkie udogodnienia z jakimi spotykałem się w Sodomie, począwszy od wielocylindrowych limuzyn, a kończąc na płaskim szwajcarskim zegarku, służyły naszej sjeście, odpoczynkowi, wspartemu jak na kolumnach, na skrzętnej pracy naszych dziadków i na rencie, którą ta praca przyniosła po wielu latach marnotrawnym wnukom.

Od tego dnia, chociaż nie pracowałem lepiej niż przedtem i chociaż wciąż nie mogłem sobie dać rady z piłą i siekierą, poczęto mnie uważać za równoprawnego członka gromady. Był to cichy triumf Dymitra nad towarzyszami. Dymitr bowiem, jak mi to kiedyś w zaufaniu sam powiedział, od razu liczył na umiejętności, które musi posiadać człowiek znający piękną sztukę pisania i czytania. Dymitr nie rozumiał zapewne tego, co było ideałem Sodomy przez wiele lat — bezużyteczności wiedzy. Wierzył, że wiedza służy człowiekowi i że nie zdarza się, by z wiedzy jednego reszta nie miała żadnego pożytku.

Powoli nadciągała jesień. Malachitowe wzgórza przybierały barwy podobniejsze do naszej zieleni. Żółkła trawa. Nie wiem, czy odlatywały ptaki, bo na tle jednakowego prawie zawsze nieba widywałem je rzadko. Zresztą wciąż nie wiele wiedziałem o przyrodzie. Bardzo jasne dni kończyły się wcześniej niż przedtem i noce nie były tak białe. Kiedy wychodziłem nocą z baraku nie potrafiłem już odróżnić dalekiego drzewa, które tydzień temu widziałem jeszcze dokładnie, rozróżniając wyraźnie układ gałęzi, jak rozróżnia się wiązanie koronek, patrząc na nie pod światło.

Rozmowy z Dymitrem przybierały nową formę. On, który mówił dotąd nie wiele o sobie, zaczął opowiadać o swojej wsi, o lesie, o rodzicach, o obyczajach drwalskich, o narzędziach, jak się ich używa, o tym, co robią i jak żyją ludzie jego kraju. Opowiadania były suche, treściwe, zawierały tylko to, co było niezbędne, zdania bez ozdób myśli wypowiadane były w całości. W monotonnym toku tych epickich opowiadań znajdowałem dużą przyjemność.

Przypominałem sobie intelektualny barok mieszkańców Sodomy, rozmowy, po których miało się wrażenie, że nic nie zostało powiedziane, w których żadna rzecz i żadna sprawa nie była opisana zgodnie z jej rzeczywistym wyglądem. Było to tak, jakby ktoś rozbił kiedyś ogromną wazę, na której wymalowano dzieje wszystkich kultur i jakby ci, co znaleźli szczątki, składali z nich mozaikę. Kawałki nie pasowały do siebie, nikt nie potrafił zlepić wazy, ale wszyscy cieszyli się, że to, co z nich powstaje, ma kształt dziwaczny i niczemu nie służy.

Było to dla mnie zupełnie oczywiste, że opowiadania Dymitra mają na celu coś zupełnie innego, niż zakomunikowanie mi danych o jego życiu. Dymitr opowiadając wszystko o sobie miał nadzieję, że mu się zrewanżuję i że wreszcie dowie się o mnie czegoś więcej, niż się dotąd sam mógł domyśleć.

Tego wieczoru Dymitr zakończył opowiadanie chytrym powiedzeniem: „Ja już wszystko opowiedziałem". Odwrócił się na bok i zaraz zasnął, pozostawiając mnie z niewyrównanym rachunkiem szczerości.

„Ja już wszystko opowiedziałem" to znaczyło właściwie: „teraz kolej na ciebie". Dymitr nigdy nie wspomniał, że przecież wiem więcej od niego i więcej widziałem, więc powinienem mu o tym wszystkim opowiedzieć. Był ciekawy mojego świata, ale w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Może szanował moją wstrzemięźliwość, może orientował się, że znam jakiś inny, zamknięty, wąski świat, do którego nie miał dostępu i nie chciał mnie narazić na przykrość opowiadania rzeczy dla niego niezrozumiałych.

Nie mogłem oczywiście mu opowiedzieć o rozmowach ze Stet. czy Jouh., o tym, co myślałem, włócząc się między Montparnassem i Montmartrem, ani o oglądanych obrazach, ani o przeczytanych książkach, ani o muzyce. Nie mogłem mu o tym mówić, bo właściwie w tym wszystkim nie było żadnej innej treści poza mną samym, a nawet nie mną samym, ale jakimś modelem mieszkańca Sodomy z roku 1939. Ten model miał dziesiątki tysięcy identycznych kopii we wszystkich miastach kraju sodomskiego — od Sekwany po Wisłę.

Naokoło nas, we wszystkich miastach coś się działo. Ale co? Pamiętałem z tego tylko fragmenty, a pamiętałem je dlatego, że były podobne w swojej barwie do ulubionych obrazów, w swojej treści do ulubionych książek, w swoich dźwiękach do ulubionej muzyki. Jeśli tęskniłem do Sodomy, to nie do prawdziwych ludzi ani do prawdziwych miast z żelaza i z cegły, ale do modeli ludzi i do modeli miast. Myślałem o nich zawsze jak się myśli o martwej dekoracji teatralnej. Coś się przecież w tych miastach działo. Byli żywi, sprawiedliwi ludzie, ich praca, ich zabawy, ich życie, którego wcale nie znałem, ale którego się niejasno domyślałem. I o tym właśnie postanowiłem opowiedzieć Dymitrowi.

Opowiadanie rozpoczęte któregoś wieczoru ciągnęło się dłuższy czas. Dymitr słuchał życzliwie, ale widocznie zacząłem się plątać w treści i pod rzeczy żywe podstawiałem tylko dekoracje, bo zamiast opowiadania o wielkim mieście, jak to zapowiedziałem, powstało opowiadanie o samym sobie, pełne akcentów spowiedzi i skruchy. Dymitr nie był na to przygotowany, nie przypuszczał, że mogłem mieć w życiu jakieś trudności i komplikacje, zresztą nie bardzo go to interesowało — wolał dokładny opis od zawiłej psychologii, w czym właśnie celowałem, wzorem mieszkańców Sodomy, upatrujących środek świata w sobie.

Uprzejmość, z jaką Dymitr przez dwa ostatnie wieczory słuchał tej nowej spowiedzi dziecięcia wieku, ustąpiła miejsca ciekawości. Dymitr chciał wiedzieć, jak wygląda wielkie miasto, którego nigdy nie widział. Początkowo to miało być treścią opowiadania. W trakcie rozwijania akcji popełniłem błąd, przyrodzony zresztą wszystkim pisarzom Sodomy: zamiast opisać miasto, mówiłem o sobie w tym mieście.

Pod koniec opowiadania Dymitr zażądał stanowczo: opowiedz mi o wielkim mieście. Przywołany w ten sposób do porządku, zmieszałem się, obiecałem solennie, że zrobię to następnego wieczoru i zasnąłem, myśląc, że nic właściwie nie potrafię opowiedzieć ani o wielkim Paryżu, ani o smutnym Rzymie, ani o rodzinnej Warszawie, prócz tego, że w tych miastach czytałem te same książki, oglądałem te same obrazy, rozmawiałem z tymi samymi ludźmi, wstawałem późno, kładłem się o świcie, coraz więcej wiedząc o sobie i coraz mniej o wielkiej ziemi, zaludnionej sprawiedliwymi.

Tego dnia ścinaliśmy ostatnie drzewo na wzgórzu. Dookoła leżała ogromna poręba. Ze szczytu widać było okolicę jak na dłoni. Niebo było zmatowiałe — późne niebo uralskiej jesieni. Podpiłowane drzewo skrzypiało jak nienaoliwione drzwi. Dymitr wyprostował się, zatarł ręce, potem je rozkrzyżował. Na tle ogromnego nieba i dalekiego pejzażu wyglądał jak wielki ptak, szykujący się do odlotu. Czy wiatr uderzył zbyt silnie, czy też podpiłowaliśmy drzewo tak bardzo, że nie wolno już było stać w kierunku jego przypuszczalnego upadku — tego nie wiem. Ale drzewo upadło nagle, niby złamane, nie zdążyłem nawet krzyknąć tego niezrozumiałego słowa „Kalundra", które w języku drwali tych okolic ostrzega przed upadającym drzewem.

Widok Dymitra z rozkrzyżowanymi rękoma i krótki szum upadającego drzewa zlał się w jedną całość. W pierwszej chwili myślałem, że Dymitr Mojsiuk odleciał naprawdę jak wielki ptak. A on tymczasem leżał wśród zielonych iglastych gałęzi, bardzo blady z zamkniętymi oczyma, z niedomkniętymi ustami, jak wtedy, gdy przed zaśnięciem powiedział: opowiedz mi o wielkim mieście.

Myślę, że nie potrafiłbym mu o tym opowiedzieć.

Paweł Hertz

Wkrótce ukaże się drugie wydanie
NOWOŚCI
STANISŁAWA DYGATA
Jezioro Bodeńskie
Nakł. Spółdzielni Wyd. „Wiedza"

NOC I MGŁA

(dokończenie ze str. 5-ej)

sprawa zobojętnienia człowieka na zbrodnie. Za sprawą hitleryzmu zbrodnia stała się chlebem powszednim milionów Niemców, i nie tylko Niemców. I w tym się może kryje najpotworniejsze i najgroźniejsze dziedzictwo faszyzmu. Hitler powiedział, że zwolni Niemców ze wszystkich hamulców moralnych, ale nie on wynalazł tę drogę do niemieckiej duszy. Była ona już najzupełniej dojrzała do przyjęcia tego nowego apostolstwa.

Film amerykański nie mówi całej prawdy o Niemcach. Pokazuje dzieci, które na rozkaz Hitlera prowadzą ćwiczenia bojowe w maskach gazowych i maszerują z łopatami w kolumnach Hitlerjugend. Chłopcy są zgrabni, wysmukli, ubrani po sportowemu, budzą raczej wrażenie tężyzny i zdrowia. Na odwrót, pierwsi cywile powołani w Anglii pod broń, ustawieni w nierówne szeregi i demonstrujący swe sztywne kołnierzyki, szelki, słomiane windhorsty, mimo woli w tym właśnie zestawieniu szukać każą przyczyn Dunkierki. Gdyby Niemcy wyszydzić chcieli zniewieściałość Anglosasów, zmontowaliby film tak samo. Trzeba by jeszcze pokazać, jak dzieci niemieckie uczono w szkole strzelania do uchodźców na szosach, trzeba pokazać zabawki, jakie im dawano: miniaturowe szubienice, małe toporki do ścinania głów, specjalne narzędzia do dręczenia owadów i zwierząt. Żołnierz maszerujący przed wodzem — to jeszcze nie cała prawda o Niemcach; nie ma w niemieckich kronikach filmowych obrazu owych judaszów, przez które nieświadomym swego losu ofiarom strzelano z pistoletu w tył głowy. Nie jest ważne, czy Keitel wiedział o rozkazie „Nacht und Nebel", ważne jest, że ten rozkaz istniał na prawdę, że „Nacht und Nebel" nie była tylko fantazją Goebbelsa, że cała epoka faszyzmu była epoką mgły i nocy.

„Nacht und Nebel" nie była fantazją Goebbelsa. Podróżny, który mija okolice Treblinki, jeszcze dziś czuje w powietrzu swąd popiołu i spalenizny, choć od zlikwidowania obozu śmierci w Treblince minęły dwa lata. Dwa lata! To za mało nawet by rozwiały się dymy krematoriów nad Polską; tym bardziej za mało, by rozpłynęły się opary mgły i nocy, w jakie hitleryzm spowił Niemcy i Europę. Proces norymberski zademonstrować ma winę Niemiec, ale śmierć Goeringa nie uleczy świata. Kiedy sowiecki prokurator Pokrowski zapytał świadka Lammersa, czy prawdą jest, że nosił tytuł Obergruppenführera SS, Lammers odpowiedział: „To był tylko tytuł honorowy, nie miałem w SS żadnej funkcji". „Więc przynależność do SS uważana była w Niemczech za zaszczyt"? — spytał Pokrowski. „Ależ tak — oświadczył Lammers — oczywiście". Powieszenie wszystkich honorowych führerów nie sprawi jeszcze, by młodzież wychowana przez faszyzm przestała uważać mordowania bliźnich za swą zaszczytną misję.

Niedługo już zapewne rozpocznie się proces zbrodniarzy wojennych, którzy zostali wydani Polsce, z Fischerem i Greiserem na czele. Nie znam się na procedurze sądowej, ale wiem, że będzie to proces wyjątkowy i że procedura, jaka w nim będzie zastosowana, winna być również wyjątkowa. Nie idzie w tym procesie o skórę Greisera czy Fischera; nie trzeba stosu dokumentów, by dowieść ich winy. Wystarczy zapytać wszystkie matki polskie, by zapadł wyrok jednomyślny. Nie sędziowie powinni skazać oskarżonych: dwadzieścia milionów Polaków zażądać musi ich śmierci. Sąd decydować będzie o karze dla zbrodniarzy, ale na ławach sędziowskich niech zasiądą nie prawnicy w togach i beretach, lecz ludzie w pasiastych mundurach: niech ofiary sądzą swoich katów, i niechaj Rudolf Hoess, komendant obozu w Oświęcimiu, nie usłyszy naszego śmiechu, gdy będzie usiłował zasłaniać się Hitlerem. W imię sprawiedliwości, w imię zdrowia naszego pokolenia mamy prawo przedstawić im pełny rejestr ich zbrodni: nie tylko tych, które własną dłonią popełnili, lecz i tych wszystkich, których oni sami są winowajcami. A rejestr to wielki, i dziś jeszcze nie zamknięty.

Mówię o polskim podziemiu. Mówię o tych Dzikich Polach, w jakie dziś [illegible] z poręki hitleryzmu siły podziemne zamieniają obszerne połacie kraju. Toczy się w Polsce walka polityczna; reformy społeczne, przeprowadzane nie drogą przewrotu, lecz drogą ustawy, nie napotykają przez to na mniejszy opór tych, przeciw którym są skierowane. Nie ma reform bez walki i bez mniejszych lub większych grup, które w interesie ogółu ponieść muszą ofiary. Wydziedziczony posiadacz ziemski nie może zachwycać się reformą rolną, pozbawiony fabryki kapitalista nie może wpadać w entuzjazm z powodu unarodowienia przemysłu. Wielu ludzi obałamuconych, choć nie byli właścicielami dóbr ziemskich ani fabryk, może uważać te reformy za złe i szkodliwe. To jest walka polityczna i tę walkę musimy stoczyć. Ale ci, co kryją się po lasach i wypadają z bronią na gościńce — to przecież nie byli ordynaci i dysponenci trustów, choć może nieraz ich ręka nimi kieruje. To hitlerowska noc i mgła unosi się nad miasteczkami i osiedlami w Polsce. Niemcy wymordowali pięć milionów Żydów, tak jak wymordowali dziesięć milionów Rosjan, Norwegów, Greków, Francuzów — bo ich mienie i kosztowności, ich włosy i kości potrzebne były do podtrzymania hitlerowskiej machiny wojennej, bo wskutek tego my dziś mamy dwadzieścia dwa miliony ludności scherlałej od głodu, gruźlicy i obozów, a oni mają sześdziesiąt pięć milionów utuczonych i rumianych od naszej krwi. Hitlerowski antysemityzm nie był fantazją Goebbelsa ani fanatyczną ideą Streichera: chodziło po prostu o pieniądze. W Polsce antysemityzm krzewiono od dawna, a hitleryzm znakomicie tę naukę rozwinął; dziś, choć Żydów pozostała garstka, trudniej się z nim uporać niż kiedykolwiek. Ale ci, co dziś jeszcze polują na Żydów po miasteczkach, to nie fanatycy antysemityzmu i nie skrzętni ciułacze pożydowskiego mienia. Jak rabunek po gościńcach nie jest wykładnikiem toczącej się u nas walki politycznej, tak mordowanie Żydów nie jest wykładnikiem ideologii antysemityzmu: to hitlerowska noc i mgła, to puszczona przez hitleryzm w ruch machina ludzkiego upodlenia, której tryby obracają się jeszcze, choć szczęli już ci, co otrzymanym z niej popiołem kostnym użyźniali ziemię. Mówimy dzisiaj o walce dwu demokracji; nigdy to słowo nie było używane tak często i nigdy tak różnych nie posiadało znaczeń. Przypadało nam w udziale, że to nasza ziemia właśnie stała się areną najsilniejszej może walki między nową demokracją, która nadchodzi, a starą, która umarła, gdy bombowce zagrały nad Europą „Horst Wessel". Cóż ma jednak wspólnego z demokracją starą czy nową, gdy się człowiekowi strzela w tył głowy, a trupa rzuca się do przydrożnego rowu? Nie jestem entuzjastą angielskiej demokracji, ale choćbym był najzagorzalszym jej wyznawcą, wyrzekłbym się jej, gdybym wiedział, że w imię tej demokracji znieprawia się dusze naszych dzieci.

Trzeba, aby ci, którzy staną przed polskim sądem, odpowiedzieli nie tylko za Oświęcim i Warszawę, lecz i za to, że dym Oświęcimia dziś jeszcze zatruwa nam oddech. Znam wypadek, kiedy uczniowie siódmej klasy poszli z bronią na mokrą robotę. „Akcja" się nie udała, gdyż ofiara zbyt późno wyszła z domu: chłopcy śpieszyli się, by być w szkole przed dzwonkiem, na pierwszej lekcji była klasówka. Za dusze tych dzieci, którym kazano splunąć i automatem walczyć o angielską demokrację, odpowiada faszyzm tak samo, jak za dusze dzieci, które rzucano na głowy skazanych na śmierć, by szczelniej zapełnić komorę gazową.

To nie jest frazes, że walka z faszyzmem nie została jeszcze skończona. Faszyzm pokonany został w starciu orężnym i Goering na norymberskiej ławie oskarżonych jest już tylko zdartą skórą zdechłego tygrysa. Ale walka z faszyzmem o duszę ludzką nie jest jeszcze wygrana, nad światem wciąż jeszcze się unosi hitlerowska przeklęta Nacht und Nebel.

Jerzy Pański

O MAKSYMIE GORKIM (w dziesięciolecie zgonu)

ROMAIN ROLLAND

Pamięci przyjaciela

Trudno mi pisać o Maksymie Gorkim. Zbyt bliska przyjaźń łączyła mnie z nim i zbyt jeszcze silny jest ból z powodu jego śmierci. Czas, który od tej chwili upłynął, bynajmniej nie złagodził tego faktu — przeciwnie — sprawił, że ta strata nie do naprawienia stała się jeszcze bardziej dotkliwa. Abstrahując od osobistych uczuć względem niego, jeszcze lepiej pojmuję teraz, jak olbrzymia była rola, którą odegrał i w której nikt go nie zastąpi.

Inni wielcy pisarze mogli, podobnie jak Tołstoj, rzucać na świat promienie swej apostolskiej myśli, albo, jak Voltaire, prowadzić armię szyderczego rozumu do szturmu na zbutwiałą przeszłość. Ale nigdy i nikomu, prócz Gorkiego, nie udało się tak wspaniale powiązać wieków kultury światowej z rewolucją, tą najpotężniejszą z rewolucyj, jaka kiedykolwiek wstrząsnęła światem. Gorkij był w ZSRR jak gdyby naczelnym kierownikiem dla spraw literatury, nauki i sztuki. Jego serdeczna przyjaźń z wodzami rewolucji — z Leninem i Stalinem, autorytet w ich oczach i w oczach narodów ZSRR, autorytet oparty nie tylko na jego wielostronnym talencie, oddziaływującym poprzez teatr, powieść, opowiadanie, publicystykę, korespondencję, ale zdobyty również dzięki walce jaką Gorkij prowadził nieugięcie z przesądami, nadużyciami i przestępstwami wszelakiej reakcji, jego odważny, pełen niebezpieczeństw udział w burzeniu starego znienawidzonego reżimu, jego nieugięty i czysty charakter, właściwa mu niezależność buntowniczego zwiastuna burzy — wszystko to dało mu władzę, którą wspaniale wykorzystał dla dobra inteligencji, dla postępu ducha ludzkiego, potęga którego uwielokrotniła się dzięki rewolucji.

W domu z kolumnami, położonym niedaleko od Moskwy, na polance w brzozowym gaju, nad rzeką Moskwą, wśród rozległych obszarów łąk i lasów — dom ten przydzielił mu rząd i Aleksiej Maksymowicz niechętnie zgodził się w nim zamieszkać, do ostatnich dni swego życia pozostając obojętnym na wszystko, co daje komfort, i raczej odczuwając ciężar dobrobytu, co wyrażało się w jego częstych, pełnych żalu wspomnieniach o głodowych, beztroskich latach swego włóczęgostwa przy stole, gdzie mogło zasiąść sześćdziesiąt ludzi, gdzie panował porządek a równocześnie swoboda, Gorkij codziennie— podczas mej obecności po bratersku rozmawiał ze swymi znakomitymi przyjaciółmi — Stalinem, Woroszyłowem, Mołotowem, Kaganowiczem, którzy tu odrywali się od swoich trosk i wesoło opowiadali o przejściach do-

Maksym Gorkij w pracowni rzeźbiarskiej

Maksym Gorkij — Aleksiej Maksymowicz Pieszkow — (1868—1936) urodził się w Niżnim Nowogrodzie. W czwartym roku życia traci ojca, w siódmym — matkę. Do szkoły chodzi zaledwie 5 miesięcy. Jako ośmioletni chłopiec pracuje w magazynie obuwia, a po przerwie spowodowanej chorobą — dziadek oddaje go na naukę do rysownika. Wskutek ciężkich warunków życia chłopiec ucieka na parostatek. O tym okresie pisze sam Gorkij: „Zaczęło się niezwykle barwne i różnorodne życie: z parostatku znów powróciłem do rysownika, potem handlowałem ikonami, służyłem jako straż na kolei, sprzedawałem obwarzanki, byłem piekarzem, zdarzało się, że mieszkałem w spelunkach..." Na żadnym z tych etapów nie opuszcza go żądza wiedzy. Czyta każdą książkę, jaka mu wpadnie do ręki. Jako dziesięcioletni chłopiec zaczyna pisać dziennik. W 1886 r. zaznajamia się w Kazaniu z rewolucjonistami - narodnikami. W trzy lata potem w Niżnim Nowogrodzie zostaje aresztowany. W 1891 r. udaje się na wędrówkę po Rosji w poszukiwaniu pracy. Przewędrowuje Powołże, Donieckie, Ukrainę.

W 1892 roku ukazuje się w „tyfliskiej gazecie" pierwsze jego opowiadanie „Makary Czudra". (Gorkij był wtedy robotnikiem w warsztatach kolejowych w Tyflisie). Pracuje w prasie prowincjonalnej, ogłasza utwory. W 1898 r. błyskawicznie rozchodzą się dwa tomiki jego opowiadań.

W 1902 r. zostaje wybrany na honorowego akademika literatury pięknej, wybory te jednak ze względu na jego „nieprawomyślność polityczną" zostają na skutek nalegania Mikołaja II anulowane.

Skłaniając się początkowo ku liberalnemu skrzydłu „wyzwoleńczego ruchu", Gorkij coraz bardziej zraża się do liberalnej burżuazji i zbliża się do bolszewików. W 1905 r. zostaje zamknięty w twierdzy Petropawłowskiej, po oswobodzeniu, w 1906 r. emigruje do Włoch i osiada na Capri. Przez cały czas uprawia ożywioną działalność polityczną.

Podczas pierwszej wojny światowej redaguje antywojenne pismo „Kronika". Po rewolucji październikowej bierze żywy udział w pracy społecznej. Jest założycielem „Komisji dla poprawy warunków życia uczonych", instytucji, która odegrała w latach głodu ogromną rolę w życiu pracowników naukowych ZSRR, inicjuje i organizuje wydawanie „Literatury powszechnej", pracuje w licznych organizacjach kulturalnych. W 1921 roku z powodu choroby płuc wyjeżdża do Włoch, na Capri, gdzie przebywa do 1929 r. Po powrocie do kraju z zapałem przystępuje do pracy literacko-publicystycznej, główną jednak namiętnością jego w tym okresie jest organizowanie i wychowywanie pisarzy robotniczego i chłopskiego pochodzenia. Stanowi to jego troskę do ostatnich dni życia.

znanych w przeszłości. Tutaj Gorkij przyjmował delegacje robotników i inteligentów, przybywające do niego z bliskich i dalekich miast i obwodów rozległego Związku, tutaj, dobrodusznie i głęboko zastanawiając się, dawał rady uczonym, artystom, działaczom — niektórzy z nich zajmowali wysokie stanowiska w cywilnych lub wojskowych instytucjach — przyjeżdżającym niekiedy zdaleka, żeby zasięgnąć jego opinii w sprawach sumienia czy też w kwestiach związanych z zawodem, w którym zajmowali kierownicze stanowisko. Widziałem, jak ich wysłuchuje, jak rozmyśla i w skupieniu szpera w pamięci, zaprawdę niezgłębionej, gdzie nie ginęło nic co zobaczył lub zasłyszał, w której w dowolnym momencie wszystko zjawiało się ponownie, równie świeże i żywe, jak w chwili kiedy było w niej zapisane...

Jak dziś mam przed oczyma jego potężne barki zgięte z powodu wzrostu i choroby, jego pełen pogody spokój przerywany nagłym wybuchem śmiechu czy oburzenia, jego proste i szczere słowa, jego zaskakujący humor i uważne spojrzenie niebieskich oczu, które to z zaciekawieniem śledziły za obrazami opowiadania, wydobytego z podziemnych głębin wspomnienia, to czule i badawczo wpatrywały się w oczy przyjaciela...

Przez dwadzieścia lat utrzymywałem z nim przyjacielskie stosunki i korespondencję, w której znalazła wyraz namiętność przeżytych przez niego przełomów, stanowiących zwrotne punkty jego życia — symboliczny dramat donioslej epoki.

Głęboki sens jego życia polega na nieustannym, nie zawsze bezbolesnym osiąganiu coraz to wyższych form humanizmu, który Gorkij utożsamiał ze zmieniającymi się wraz z ciągłym postępem interesami ogółu. Masy ludowe, jeszcze wczoraj odcięte od kultury, Gorkij powiązał z inteligencją, dotychczas trzymającą się od nich na uboczu i zazdrośnie chroniącą praw swej kasty wybrańców. Dzięki niemu również inteligenci, wyrzekłszy się swoich przywilejów, włączyli się do powszechnego nurtu, nie aby się w nim zagubić, ale by zaczerpnąć nową siłę, nową radość i przekazać ją wszystkim.

(W-g ros. przekł. B. Grifcowa „Wspomnienia o M. Gorkim" — Wyd. Wszechros. Tow. Łączn. Kult. z Zagranicą).

KORNIEJ CZUKOWSKIJ

Ze wspomnień

...W maju dziewiętnastego roku obchodziliśmy pięćdziesięciolecie Gorkiego. Kielichy do szampana były napełnione herbatą (bez cukru), każdy z uczestników otrzymał przepyszny placuszek, wielkości pięciokopiejkówki.

Byli obecni: Aleksander Błok, Gumilew, Teodor Batiuszkow, Eugeniusz Zamiatin, Akim Wołynskij, robotnicy i pracownicy drukarni. Uroczystość odbywała się w serdecznej atmosferze. Aleksander Błok zapisał w swoim zeszycie:

„Dzisiejszy jubileusz Aleksieja Maksymowicza jest jasny i pełen treści — to nie pusty dzień, lecz melodyjny".

Ale ku końcowi tego „melodyjnego" dnia, Gorkij mocno się nachmurzył i nawet zniecierpliwiony zastukał palcami po stole. Stało się to z powodu wystąpienia przysięgłego mówcy jubileuszowego, który zaczął powoli wyciągać żyły z jubilata, prawiąc kwieciste banały o humanitaryzmie jego utworów, o ewangelicznej miłości pisarza ku pokrzywdzonym i wykolejeńcom.

Palce Gorkiego zabębniły po stole jeszcze żajadlej, gdy mówca wspominając o nowej sztuce Gorkiego „Starzec", zaczął wychwalać jej bohatera, którego Gorkij otoczył jakoby — „tkliwym, łagodnym blaskiem".

Tego już Gorkij nie wytrzymał i powiedział bynajmniej nie jak jubilat:

— To nie tak, ależ nie tak... Ja w ogóle rosyjskich staruszków nienawidzę... A ten starzec, którego pan wychwala, to łajdaczyna, — staruszek, tak, łajdaczyna...

Zawstydzony mówca, opuścił oczy, a Gorkij zwrócił się do siedmioletniego chłopczyka, i częstując go, cicho powiedział: — Nigdy nie obchodź jubileuszów. A gdy skończysz 50 lat, powiedz, że masz 49 lub 51... ...A cały poczęstunek zjedz sam.

Wkrótce po dniach październikowych Gorkij powołuje do życia wydawnictwo „Literatura Powszechna". Przyszła mu do głowy myśl, by dać nowemu radzieckiemu czytelnikowi najlepsze książki, jakie były napisane kiedykolwiek przez najlepszych autorów, dać mu możność zapoznania się w przekładach z wszechświatowym piśmiennictwem na najbardziej wyborowym materiale.

W tym celu Gorkij powołał rozległe kolegium — lub raczej brygadę — spośród pisarzy i uczonych - profesorów literatury, których zadaniem było puścić w ruch ogromne zamierzenie wydawnicze według programu, specjalnie przystosowanego do potrzeb rosyjskiego czytelnika. W tym kolegium miała swych przedstawicieli literatura nieomal wszystkich krajów.

Profesor Braudo, profesor Braun i poeta Aleksander Błok zajęli się piśmiennictwem niemieckim; profesor Batiuszkow, profesor Smirnow, Derner, poeta Łoziński i poeta Gumilew — piśmiennictwem francuskim, Eugeniuszowi Zamiatinowi i mnie została powierzona angielsko - amerykańska literatura. Włoska — Akimowi Wołyńskiemu. Hindusi mieli jako swego znawcę akademika Oldenburga. Arabowie — akademika Kraczkowskiego. Chińczycy — profesora Aleksiejewa. Mongołowie — profesora Władymircewa...

Przez kilka lat wykonywaliśmy tę pracę pod przewodnictwem Gorkiego i wtedy poznałem jego zupełnie nieoczekiwane cechy. Przede wszystkim okazało się, że jest on pierwszorzędnym znawcą literatury obcej. Na temat Gorkiego słyszało się często podrwiwania: „Włóczęga, nie zna ani jednego języka, a jest przewodniczącym naukowego kolegium!" Tymczasem okazało się, że ten „bosy włóczęga" jest bardziej uczony niż niejeden profesor. O kimkolwiek zaczęto by przy nim mówić: o Wordsworthcie, Chamisso, Tiecku, zawsze ujawniał tyle szczegółowych i dokładnych wiadomości o ich dziełach, jakby studiował przez całe życie tych pisarzy — chociaż często wymawiał ich nazwiska na sposób niżnonowogrodzki. Wymienione zostaje na przykład w jego obecności nazwisko jakiegoś pomniejszego Francuza, o którym nikt nigdy nie słyszał; my milczymy wstydliwie, a Gorkij mówi rzeczowo:

— Ten autor napisał takie to i takie rzeczy. Ta, niebardzo, ale ta (i przy tym twarz rozjaśnia mu się uśmiechem) — wyborna, bardzo dobra rzecz!

Gdy rozmawiał z Oldenburgiem o pisarzach starożytnego Wschodu wydawało mi się, że nie ustępuje mu w znawstwie przedmiotu.

Drugą nieoczekiwaną osobistą jego cechą był bezlitosny, nawet, powiedziałbym, okrutny stosunek do samego siebie. Liczni postronni ludzie przypuszczali, że Gorkij był tylko nominalnym przewodniczącym, w istocie wykonywał on najczarniejszą robotę, nie wzbraniając się przed najmniej efektowną pracą. Po każdym posiedzeniu zabierał pełną tekę obcych rękopisów, do „przejrzenia"; w rzeczywistości Gorkij nie tylko je „przeglądał", lecz przerabiał wszystko na nowo, do niepoznania zapisując każdy rękopis swymi poprawkami.

Z podziwem oglądałem te rękopisy. Niekiedy setki stronic wymagających wielodniowej pracy! Wszystko zbędne dokładnie przekreślone niebieskim ołówkiem; nad każdym poprawionym wierszem widnieją staranne, proste i wyraźne litery, tak charakterystyczne dla pisma Gorkiego. Do każdej takiej korekty dołączona jest napisana własnoręcznie recenzja — wynik równie wielkiej pracy.

Jasne, że gdy spostrzegliśmy jak i bezwzględnym jest Gorkij względem siebie, staraliśmy się odciągać go od tej codziennej mitręgi, ale to się prawie nigdy nie udawało, szczególnie, gdy chodziło o tzw. serię „ludową", tj. serię książek przeznaczonych do czytania dla szerokich mas. „Ludowa" seria leżała Gorkiemu na sercu bardziej niż jakakolwiek inna; domagał się, by nie włączano do niej ani jednej książki bez jego wiedzy. Niekiedy, aby dokonać wyboru siedmiu, ośmiu najodpowiedniejszych opowiadań któregoś z obcych autorów do małej książeczki, Gorkij czytał dziesięciokrotnie więcej, — nieomal wszystkie utwory danego pisarza.

...„Literatura Powszechna" stanowiła zaledwie niewielką część prac, którym się Gorkij wówczas oddawał. Równocześnie był zajęty organizowaniem „Domu uczonych" i szeregu teatralnych i literackich instytucji, w których znów był nie tylko przewodniczącym, lecz również wykonawcą mozolnej pracy, zabierającej mu tyle godzin, że pozostanie dla mnie na zawsze tajemnicą, kiedy miał czas na spanie.

(„Sbornik statiej i wospominanij o M. Gorkom").

TATIANA MOTYLEWA

Gorkij przeciw faszyzmowi

Artystyczna i publicystyczna puścizna Gorkiego jest organicznie wroga faszyzmowi.

Współcześni Gorkiego na Zachodzie próbując scharakteryzować jego wkład do literatury powszechnej, niejednokrotnie podkreślali, że Gorkij po raz pierwszy uczynił równouprawnionym bohaterem w literaturze pracującego i uciśnionego człowieka. „Gorkij— pisze Henryk Mann — pierwszy wprowadził do literatury, jako jej bohaterów, przedstawicieli tej klasy, która dotychczas w literaturze nie występowała... i jeżeli obecnie pisarze nie są całkowicie zależni od społeczeństwa burżuazyjnego, zawdzięczają to geniuszowi Gorkiego" [1]). Upton Sinclair pisze o Gorkim: „Uczyłem się u niego, że wielka literatura nie może stać na uboczu od ciężkiej walki biednych i uciśnionych" [2]).

Twórczość Gorkiego od pierwszych opowiadań o włóczęgach, do artykułów napisanych niedługo przed śmiercią—jest przepojona miłością do prostego człowieka, patosem sprawiedliwości socjalnej i godności ludzkiej... Gorkij zdołał jednak ukazać nie tylko cierpienia „poniżonych i pokrzywdzonych", nie tylko ich instynktowny pęd do sprawiedliwości, ale również ich udział w burzeniu ustroju opartego na wyzysku, w kształtowaniu nowego społeczeństwa. Twórczość autora „Matki", „Wrogów", „Na dnie" w całej swej istocie jest wroga faszystowskiej nienawiści do człowieka. Reakcyjnemu dogmatowi o odwiecznej wyższości rasy czy kasty „wybrańców' nad pozostałymi ludźmi przeciwstawia Gorkij tezę o wartości prostego człowieka, o jego prawie do budowania i urządzania życia. Nie na próżno słynne zdanie Gorkiego „Człowiek — to brzmi dumnie" włożone jest w usta mieszkańca „dna" społecznego": Gorkij szukał i znajdował w wydziedziczonych warstwach społeczeństwa burżuazyjnego przebłyski człowieczeństwa, woli, energii, honoru, będące wyrazem tych olbrzymich zapasów sił twórczych, jakie drzemią w uciśnionych masach ludowych.

Krytyka zachodnio - europejska niejednokrotnie mylnie interpretowała poszczególne utwory Gorkiego. Upodobanie młodego Gorkiego do mocnych, heroiczno - romantycznych wzorów stało się przesłanką dla niektórych pisarzy Zachodu do wysnuwania wniosku o istnieniu punktów styczności między Gorkim a nietzscheanizmem.

Na przykład Tomasz Mann pisał: „Przywykłem widzieć w twórczości Gorkiego most między Nietzschem a socjalizmem" [3]). Ten pogląd oparty jest na nieporozumieniu, na pomieszaniu pojęć. Gloryfikowanie silnej osobowości bohatera - bojownika u Gorkiego jest zasadniczo przeciwstawne antysocjalnemu, amoralnemu indywidualizmowi nietzscheanizmu. U Gorkiego silny człowiek to nie „nadczłowiek" gardzący słabszymi, lecz wybitny przedstawiciel masy, idący na jej czele, gotów do ofiar dla niej.

...Gorkij wnikliwym okiem realisty zdołał zaobserwować i ukazać te przejawy w życiu społeczeństwa imperialistycznej epoki, w których kryły się chorobotwórcze mikroby faszyzmu. Z niebywałą siłą piętnował egoizm posiadacza, tępotę mieszczucha, ukazywał rozkładający wpływ, jaki wywiera na człowieka żądza posiadania.

...W powieści „Foma Gordiejew" kupiec Jakub Majakin tak formułuje swoje credo: „Handel to — podobnie jak wojna — hazardowna rzecz... Podchodząc do człowieka, trzymaj w jednej ręce miód, a w drugiej nóż..."

Gorkij niejednokrotnie przypominał czytelnikowi, że okrucieństwo burżuazyjnego łupieżcy jest najstraszniejsze i najniebezpieczniejsze, gdy przybiera skrytą, zewnętrznie przyzwoitą postać, i że bronią reakcyjnych sił społecznych w ich walce o utrzymanie panowania jest nie tylko cynizm, ale i obłuda.

W związku z tym wielkie znaczenie socjalno - obyczajowe ma stworzony przez Gorkiego w ostatnich latach jego życia obraz Klima Samgina. Bohater czterotomowej niedokończonej epopei na pierwszy rzut oka to przeciętny inteligent przedrewolucyjnej Rosji, który niemniej niż inni jego współtowarzysze, przyswoił sobie potoczną liberalną frazeologię. W momentach ostrych starć między rewolucją i caryzmem wkłada to „neutralną" to „opozycyjną" maskę. Dopiero stopniowo spod pięknych obsłonek światłego sceptyka — z jego pogonią za oryginalnością i ciągłym poszukiwaniem drogi pośredniej — ukazuje się odrażająca twarz egoisty, chłodnego, obojętnego na wszystko, co nie dotyczy własnego dobrobytu, który niepostrzeżenie dla samego siebie stacza się coraz niżej po powierzchni zdrady. Zoologiczny indywidualizm Samgina prowadzi go krok za krokiem w szeregi agentów policji, a frazeologiczna wolnomyślność jest przykrywką dla najbrudniejszego politycznego wstecznictwa.

Chociaż „Życie Klima Samgina" to powieść z życia rosyjskiego, niewątpliwie jednak znajdują w niej wyraz rozważania Gorkiego nad losami zachodnio - europejskiej inteligencji i jego głęboka znajomość duchowego życia Europy w okresie między dwiema światowymi wojnami.

...Niektóre aforyzmy Samgina — jak: „Hierarchiczna struktura społeczeństwa współczesnego jest oparta na biologii" (t. III str. 51) — graniczą bezpośrednio z faszystowską argumentacją. W osobie Samgina znajduje wyraz społeczny typ, kształtujący w ciągu ostatniego dwudziestolecia w szeregu krajów Zachodu duchowe środowisko, z którego czerpali soki i o które opierali się faszystowscy „zdobywcy świata".

...Jeszcze na długo przed zwycięstwem faszyzmu w Niemczech w umyśle Gorkiego zrodziły się niepokojące myśli o niebezpieczeństwie grożącym Europie. W 1922 roku, będąc w Niemczech, w liście do Romain Rollanda zwracał uwagę na to niebezpieczeństwo... „Dziwna tu inteligencja — pisał — jeśli mi wolno wypowiedzieć swój sąd: jej konserwatyzm polityczny wydaje mi się równie odrażający, jak jej chorobliwy nacjonalizm... W ogóle, wszystkie warstwy społeczne pragną tu jakiejkolwiek władzy, byleby tylko dostatecznie silnej" (Przedruk z franc. „Europe" — 15.VIII.1936).

..Już wtedy Gorkij rozpoczynał to wielkie dzieło, któremu w dużym stopniu poświęcił ostatnie lata swego życia: dzieło mobilizacji myślących ludzi świata do walki z faszyzmem. Korespondencja z Romain Rollandem, spotkania i rozmowy ze Stefanem Zweigiem oraz ideowe i przyjacielskie kontakty z innymi wybitnymi zachodnio - europejskimi pisarzami — w znacznym stopniu przyczyniły się do ich zradykalizowania, aktywizowały ich jako reprezentantów europejskiej antyfaszystowskiej i demokratycznej myśli. W tymże duchu wpływały na umysły postępowej inteligencji na Zachodzie liczne artykuły publicystyczne Gorkiego.

...Podczas gdy liczni publicyści i literaci na Zachodzie wierzyli w możliwość „lokalizacji" niebezpieczeństwa faszystowskiego i łudzili się co do szybkiego załamania się hitlerowskiej dykatury od wewnątrz, Gorkij bezustannie przypominał o niebezpieczeństwie nowej wojny światowej, którą przygotowuje faszyzm. Jego inicjatywa i przykład odegrały decydującą rolę w licznych zbiorowych wystąpieniach awangardy europejskiej inteligencji przeciw niebezpieczeństwu wojny imperialistycznej; w kontakcie z Gorkim prowadzili swoją antywojenną robotę Romain Rolland i Henri Barbusse.

...Wielu pisarzy zachodnio - europejskich podjęło z zapałem wezwanie Gorkiego, Barbusse'a, Rollanda — by zjednoczyć siły dla obrony kultury przed barbarzyństwem hitlerowskim. Niektórzy z nich, przede wszystkim Lion Feuchtwanger i Henryk Mann — zdołali piórem artysty lub w wypowiedziach publicystycznych w przekonywujący sposób wykazać, że faszyzm w całej swej istocie jest wrogi najlepszym osiągnięciom cywilizacji ludzkiej. W Międzynarodowym Kongresie dla Obrony Kultury (Paryż 1935) wzięło udział wielu wybitnych pisarzy. Choroba nie pozwoliła Gorkiemu na osobisty udział w kongresie; powitał go listownie oraz ogłosił w prasie obszerny artykuł „O kulturach".

..Podczas kongresu wygłoszono szereg wspaniałych, płomiennych mów, przepojonych szczerym dążeniem do wzięcia w obronę kulturalnych dóbr ludzkości. Ale większość uczestników stawiała problemy kultury i twórczości literackiej w pewnym oderwaniu od istotnych zagadnień socjalnych. Typowe dla tego nastawienia są np. słowa Liona Feuchtwangera: „Zarówno historyk jak i powieściopisarz widzą w historii walkę nie znacznej, rozsądnej i gotowej do wymierzania sprawiedliwości mniejszości z olbrzymią zwartą większością nierozumnych ślepców, kierujących się jedynie instynktem" [4]).

Liczni uczestnicy kongresu uważali siebie właśnie za przedstawicieli rozumnej „mniejszości", której powołaniem jest uratowanie kultury wbrew „ślepej" masie. Inni pisarze być może nie podzielali tej nieufności do mas jednakże i oni uważali walkę w obronie kultury za sprawę cienkiej warstwy wybranych intelektów i z pewną naiwnością wypowiadali swoją wiarę we wszechmoc bezkrwawych, duchowych sposobów walki. Takie podejście do zagadnienia daje się odczuć w słowach „Listu do kongresu" Ernesta Tollera: „Dzisiejsze materialne wydarzenia cieszą się krótkim tryumfem: nadejdzie dzień, gdy okażą się one bezsilne przed obliczem Idei" [5]).

Ale w jaki sposób zostanie osiągnięte, zwycięstwo „Idei" nad brutalną siłą reakcyjnych barbarzyńców — ani Toller, ani inni zachodnio - europejscy uczestnicy kongresu nie postawili sobie jako pytania.

Przeciwnie Gorkij. Dla niego losy kultury były nierozłącznie związane z losami demokracji, a walka w obronie kultury — z walką mas pracujących przeciw reakcji... Literatom Zachodu, którzy jako przeciwwagę dla faszyzmu głosili abstrakcyjne ideały „niezależności ducha" Gorkij przypominał: „Śmieszną jest rzeczą marzyć, a jeszcze śmieszniejszą mówić, o indywidualnej niezależności w społeczeństwie, gdzie ludzi — a w tej liczbie i dziennikarzy — kupuje się i sprzedaje łatwo i bez przeszkody jak barany i ogórki" [6]) Gorkij wykazywał, że prawdziwie swobodny rozwój kultury jest możliwy tylko w tym stopniu, w jakim szerokie masy ludowe są rzeczywistymi gospodarzami życia. Starał się przekonać zagranicznych pisarzy - antyfaszystów, że powinni prowadzić swą walkę w ściślejszej współpracy z masami pracującymi. Swoje wezwanie do kongresu zakończył słowami:

„Jedynie proletariat, wyrobnik kultury, pracująca inteligencja i chłopi mogą zrozumieć szlachetne wezwania zdrowo myślących ludzi, domagają się oni prawa tworzenia kultury i zasługują na to" [7]).

(Wszechros. Tow. Łączn. Kultur. z Zagranicą. Moskwa, 1946).

Wybrała i przełożyła
Krystyna Bilska

[1]—[3]) I. Gruzdiew — „Sowremiennyj zapad o Gorkom" — 1930.

[4]—[6]) „Międzynarodowy Kongres Pisarzy dla Obrony Kultury — Odczyty i wypowiedzi". — Moskwa, 1936.

Ludzie, których wielka szkoda

„Ludzie wśród ludzi"*) — to książka epitaphium i książka testament. Zawiera ona skrót czterech żywotów, z których trzy są autentyczne ,a jeden też prawdziwy, choć może nie autentyczny. Wszystkie przecięte zostały zbrodnicza dłonią niemieckiego najeźdźcy.

Wstępne opowiadanie Boguszewskiej — **„Danusia z PPS"**, drukowane swego czasu w „Odrodzeniu", jest historią ofiarnego życia małej Danusi Dzierlackiej, która wierna tradycjom rodzinnym, a bardziej może jeszcze własnej woli i chęci posłuszna, oddaje swe młode siły na usługi konspiracji i — przewożąc pod stosem sprzedawanych ciastek zapalniki do granatów ginie w czasie łapanki pod ciosami żandarma. Ojca Danusi już dawniej schwytali podobno Niemcy z bronią w ręku, brat pełni „leśną" służbę, matka boryka się z głodem i nędzą, nosząc szmugiel do „Reichu" i z „Reichu". Ot! jedna z wielu dość częstych historyj rodziny polskiej w dobie okupacji.

Temat niewymyślny, raczej pospolity. Łatwo było uczynić zeń szablonową czytankę „patriotyczną" .Ale autorka, świadoma artystycznej odpowiedzialności, nie poszła drogą najmniejszego oporu. Oszczędziła sobie i czytelnikom dramatycznego efektu śmierci Danusi .Dowiadujemy się o niej jedynie z opowiadań przygodnego świadka. Za to dość szczegółowo — o ile to było możliwe w ramach niedługiego opowiadania — zarysowała Boguszewska obraz realiów okupacyjnej codzienności, a ponad to ukazała interesująco złożoność psychiki Danusi, w której pod wierzchnią warstwą dziecinnej egzaltacji tai się płomień dojrzałego bohaterstwa..

Wspomnienie Boguszewskiej, poświęcone pracy i życiu **Haliny Górskiej,** ciekawe jest przede wszystkim, jako ukazanie dróg, które prowadziły autorkę „Drugiej Bramy" od filantropijnych poczynań wśród warszawskiej nędzy do czynnego udziału w walce lewicy społecznej o dziś dopiero realizowane hasła i zasady. Pełne współczucia i zrozumienia słowa Boguszewskiej dają poznać Górską bardziej jako czujną na ludzką niedolę działaczkę-budzicielkę sumień, niż jako pisarkę-autorkę szeregu głośnych w przedwojennych latach powieści i reportaży literackich.

A i tej stronie ofiarnego istnienia Górskiej należałoby się, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, jakieś obszerniejsze studium. Rozstrzelana w czerwcu 1942 roku na lwowskich Piaskach—Górska uniosła z sobą nie wspomnienie, lecz zaledwie wizję lepszego, sprawiedliwszego świata. Ci, którzy przeżyli, którym sadzone było stać się realizatorami, albo choćby świadkami marzonych przez innych dokonań, mają wobec pamięci takich właśnie pisarzy jak Górska poważne i nie dające się odraczać zobowiązania.

Obszerne **„Słowo o Dembińskim"** pióra Jerzego Kornackiego zbliża ku nam postać jednego z najwybitniejszych przedstawicieli młodego ,przedwojennego pokolenia. Krótkie życie Henryka Dembińskiego, przywódcy młodzieży wileńskiej, który zginął rozstrzelany przez Niemców w 1941 roku, w kresowych Hancewiczach, było wspaniałą, wyjątkową zapowiedzią, zapowiedzią — niestety bez obiektywnej możliwości ziszczenia.

Informacje do tego szkicu biograficznego czerpał Kornacki z drugiej ręki, chociaż ze źródeł bardzo bliskich osobie Dembińskiego. Trudno jednak w tych warunkach mieć zupełną pewność, że niezwykła ewolucja duchowa, przebyta przez Dembińksiego od katolickiego „Odrodzenia" do jednolitofrontowych szeregów lewicy miała przebieg i charakter akurat taki, jak to maluje Kornacki. Bądź co bądź w tym może nieco zbyt rozlewnym i skłonnym do subiektywnych dygresyj „Słowie" znajdziemy dużo ciekawych a niewątpliwych szczegółów biografii twórcy „Zagarów" i „Po prostu". Bardzo wymowne są m. in. próby czynników „sanacyjnych", usiłujących czapką i papką, mirażem świetnej kariery, bądź groźbą i więziennym terrorem przeciągnąć na swoją stronę świetnie rokującego myśliciela, publicystę i działacza. W kołach podówczas miarodajnych zdawano sobie sprawę z wartości umysłu Henryka Dembińskiego; nie doceniono tylko siły jego charakteru i trwałości przywiązania do idei, które był uznał za swoje.

Dembiński mógł ocaleć, uchodząc w porę przed nawałą niemiecką. Nie uczynił tego, bo jako inspektor szkół pragnął dotrwać na stanowisku do końca roku szkolnego, aby zdobyć dla swego rejonu sztandar przechodni pierwszeństwa. W tym postanowieniu, które kosztowało życie, był upór, szlachetna pasja i odwaga. Kornacki, komentując życiowy finał Dembińskiego, słusznie podkreśla doniosłość sprawy gromadnego współzawodnictwa: „Odrzucenie wyścigu poszczególnych ludzkich jednostek, przyjęcie wyścigu gromad... prowadzi do zmiany zarówno chowania i kształcenia ludzi, jak i do rewolucji już nie tylko w formach, ale i w treści najgłębszej obyczajów ludzkich, jeśli wziąć za podstawę, za jednostkę życia, zespół, a nie samotność jednego człowieka danego walce..."

Prężną, dynamiczną, rozmachu życiowego pełną postać **Stanisława Dubois** charakteryzuje Kornacki tymi słowy: ....Miły, kochany, radosny i bliski... ale widzą wszyscy, że zawsze i wszędzie w jego oczach i rękach jest siła silniejsza nad wszelką przyjaźń, jest miłość gorętsza ponad wszystkie romanse, — Partia i Socjalizm, zawsze i wszędzie troska najgorliwsza w każdej myśli i w każdym stąpnięciu, aż do tej myśli ostatniej, po której jest śmierć"... I przyszła ta śmierć, okrutna i męczeńska, w obozie kaźni oświęcimskiej.

Nie jest rzeczą może istotną, jakie względy — „gospodarcze, rozumowe czy emocjonalne" — skłoniły Stanisława Dubois, już w latach wczesnej młodości, do „pójścia w Socjalizm". Ważnym wydaje mi się to przede wszystkim, że ten młody, niestrudzony działacz partyjny, organizator TUR, poseł na Sejm i więzień brzeski, wcześniej, znacznie wcześniej, niż wielu innych, pojął konieczność jedności ruchu robotniczego i — naprzekór z różnych stron walącym się przeszkodom— idei jedności aż do końca swego pozostał niezachwianie wierny. Podobnie jak Norbert Barlicki, wespół z którym redagował „Dziennik Popularny" miał krótką, lecz szczególnie chwalebną kartę w dziejach walki z rodzimym faszyzmem.

Górska, Dembiński, Dubois i tysiące Danuś z ruchu podziemnego — to ludzie, którzy odeszli za wcześnie. Za wcześnie, ale przecież nie napróżno, bo z ich prochów nie tylko powstali mściciele, lecz i zrodziło się przykazanie, w ten sposób przez Kornackiego sformułowane: „Ciągle dopiero przed nami budowa socjalizmu... Sterujmy czujnie, byśmy w chaosie pojęć dzisiejszego dnia, w przemyślnych wirach słabości taktycznej nie zatracili lewego kierunku"...

Bolesław Dudziński

*) Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki. Ludzie wśród ludzi. Warszawa, „Wiedza" 1945. Str. 73 i 3 nl.

Prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie „Kuźnicy". Zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata kwartalnie wynosi 75 zł.

ROZMAITOŚCI

Ideologia Urzędu Likwidacyjnego

Niedaleko Łodzi jest miejscowość letniskowa Grotniki. W Grotnikach są drzewa i dużo zdrowego powietrza dla dzieci kolejarzy i literatów. W Grotnikach są wille przeważnie poniemieckie. W Grotnikach dzieją się dziwne rzeczy. Na kilkanaście dni przed referendum ludowym kolejarze muszą bronić willi przeznaczonych na wczasy dla swoich dzieci. Przed kim muszą bronić? Przed panami z Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego. W Grotnikach jest maleńka willa, domek trzypokojwy. O ten domek od roku Związek Literatów musi prowadzić papierową wojnę. Z kim musi prowadzić wojnę? Z panami z Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego. Domek ten w aktach nosi nazwę „Schultze". Przejrzałem plikę aktów i myślę, że afera „Schultze" nie pójdzie gładko ob. Stanisławowi Dowborowi. Ani też sprawa „Puppe". Ani sprawa „Grotniczanka". Odpowiednie władze, kiedy wejrzą na teren Grotnik, będą musiały przeczytać znacznie grubsze pliki aktów. Kto to jest ob. Stanisław Dowbór? Jest to naczelnik Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego w Łodzi. Dlaczego muszą się Nim zajmować literaci, zamiast pisać wiersze, powieści i prowadzić spory ideologiczne? Dlatego, że działalność naczelnika Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego w Łodzi jest sprawą ideologiczną.

O tym, że Grotniki nadają się na wypoczynek dla dzieci robotniczych, pomyślały organizacje zawodowe i społeczne nazajutrz po wyzwoleniu kraju. W pierwszych dniach wytworzyło się nawet coś w rodzaju wyścigu do Grotnik. Literaci dostali do użytkowania dużą willę, którą potem zabrali im kolejarze. Literaci ustąpili wobec argumentacji kolejarzy i wzamian otrzymali dwa maleńkie obiekty „Loewe" i „Schultze". (Dokumenty: z dnia 8 maja 1945 r., pełnomocnik Wojewódzki dla Spraw Reformy Rolnej. Z dnia 15 października 1945. Okręgowa Rada Związków Zawodowych). Klucze od obiektów zostały wręczone przedstawicielom Związku przez ówczesnego przedstawiciela Głównego Urzędu Likwidacyjnego ob. Dąbrowskiego. Po zwycięskim odparciu zamachu ze strony kinofikacji literaci przystąpili do urządzania tych obiektów, aby uruchomić je bieżącego lata. Tymczasem los obiektów porzuconych przeszedł do kompetencji Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego. Wydawałoby się, że zatwierdzenie użytkowania tych obiektów przyznanych Związkom Zawodowym jest po prostu drobną formalnością. Kilkakrotnie Związek Literatów zwracał się do Dyrektora tego Urzędu, aż wreszcie Dyrektor Dowbór (List z 18 maja 1946 r.) zawiadomił Związek, że obiekt „Schultze" jeszcze 20 czerwca 1945 r. został oddany w dzierżawę... ob. Konstantemu Kamińskiemu. Co więcej, willa — „według posiadanych przez urząd wiadomości przez tegoż była użytkowana w ubiegłym sezonie". Urząd Likwidacyjny przekazał rozpatrzenie sprawy Kolegium Społecznemu i tak ją „według posiadanych wiadomości" zreferował, że aż do 24 czerwca 1946 r. pomimo wielokrotnego zwracania się do Urzędu Związek nie mógł dowiedzieć się o losie obiektu. Dopiero kiedy zawiadomił, że wnosi zażalenie do Ministra Skarbu otrzymał od Dyr. Dowbora wyjaśnienie, że obiekt „Schultze" przyznano na użytkowanie ob. Konstantemu Kamińskiemu. Przepraszam — w ciągu tego czasu ob. Konstanty Kamiński zdążył wypączkować i w dokumencie z dnia 24 czerwca 1946 r. czytamy: „Willa Schultzego z uwagi na fakt, że była już w roku ubiegłym w posiadaniu i użytkowaniu ob. Kamińskiego Konstantego i pracowników Głównego Urzędu Likwidacyjnego i, że w roku bieżącym jest również w ich posiadaniu...". Sprawa jest jasna, przynajmniej dla tych, którzy umieją czytać.

Nielepiej powiodło się u pana Dowbora kolejarzom. Okazało się, że jedna z willi przyznanych Związkowi kolejarzy przez Okr. Radę Związków Zawodowych w okresie kiedy miała ona bezsporne prawo dysponowania określonymi obiektami w Grotnikach, willa „Grotniczanka" — została już w ubiegłym roku wydzierżawiona przez Urząd Likwidacyjny osobie prywatnej na przeciąg 3 lat. W liście Zarządu Związku Zaw. Pracowników Kolejowych, Koło Łódź do Okręgowej Komisji Zw. Zawodowych z dnia 16 maja 1946 r. czytamy: „Na naszą interwencję w tej sprawie kierownik Wydziału Nieruchomości odpowiedział nam, że w myśl ustawy dla niego jest takim samym prawnym petentem osoba prywatna, jak odnośny Związek Zawodowy, czy też inna organizacja, i on decyzji nie cofnie, gdyż sprawa jest przesądzona. Ponieważ użytkowaliśmy już dla celów społecznych wspomniane obiekty w roku ubiegłym, jak również i w tym roku otrzymaliśmy z O.K.K.Z. prawo wykorzystania ich w sezonie letnim i w związku z tym ponieśliśmy dość poważne koszty na remonty i zabezpieczenie willi przed dewastacją, nie możemy w żaden sposób pogodzić się z dziwną procedurą".

Podwładni Dyr. Dowbora pozwalają sobie na jeszcze śmielszą procedurę. W dniu 14 maja 1946 r. Związek Zawodowy Pracowników Kolejowych wystąpił o wydzierżawienie willi poniemieckiej „Puppe", którą dotąd zamieszkiwał pracownik kolejowy, tymczasem, jak czytamy w innym liście Związku Kolejarzy do O. K. Z. Z., 19 czerwca przyjechał do Grotnik funkcjonariusz Urzędu Likwidacyjnego, zmusił terrorem strażników kolejowych do opuszczenia willi.

Teraz już nie trudno określić ideologię wyznawaną przez ob. Dowbora i kilku jego podwładnych. Osoba prywatna ma pierwszeństwo moralne przed organizacją związkową, bo osoba prywatna ciągnie zyski z podnajmu, a organizacje związkowe nie ciągną. W domach wypoczynkowych oddanych od roku do dyspozycji robotników czy literatów może każdej chwili wyskoczyć jak diabeł z pudełka prywatny użytkownik. W jednym dokumencie (list 18 maja 1946) może figurować jako dzierżawca osoba prywatna Konstanty Kamiński, a w innym (list z 24 czerwca) ta osoba prywatna dla większego efektu może zmienić się w anonimową grupę pracowników Urzędu Likwidacyjnego. Dla dzieci kolejarzy i literatów wystarczą drzewa i ptaki na papierze, drzewa i ptaki w Grotnikach są dla prywatnych dzierżawców. Słowem jest to ideologia niecierpiąca zwłoki — niezwłocznie domagająca się likwidacji. Znalazł się ktoś, kto wypowiedział wojnę dzieciom kolejarzy i literatów. Będzie ją miał.

ADAM WAŻYK.

„Papuga" Kazimierza Korcellego
w Teatrze Polskim w Warszawie

Gromada panów w średnim wieku obchodzi piętnastą rocznicę matury. Spotykają się w prowincjonalnej szkole, siadają na szkolnych ławkach i usiłują zrobić bilans ubiegłych lat. I oto okazuje się, że nie mają sobie nic do powiedzenia prócz faktów najprostszych: ożeniłem się, mam dzieci, mam dobrą czy złą posadę. To jest tło aktu pierwszego „Papugi", potraktowanej przez autora w zasadzie jako komedia, lecz niekiedy wkraczającej gatunkiem dowcipu w farsę. W symbolicznym, bodaj z maeterlinkowskiego teatru wywodzącym się akcie trzecim ci sami ludzie w tejże szkole biorą udział w faszystowskim zebraniu. Są posłuszni, zautomatyzowani, na rozkaz przywódcy zajmują wyższe lub niższe miejsca w ławkach, by wreszcie w chwili kataklizmu, gdy nieprzyjacielskie samoloty krążą nad miastem, przemienić się w bezwolne, drżące ze strachu zwierzęta.

Na tle tego „społeczeństwa" rozgrywa się historia przemian Juliana Maya, historia jego przeobrażeń politycznych, jego galaretowatości w stosunku do otoczenia i do siebie samego. Julian May jest wykolejonym inteligentem. Był kiedyś radykalny i miał duże ambicje. W chwili rozpoczęcia akcji jest małym, lękliwym urzędniczkiem, przybocznym swego kolegi szkolnego, bufona - starosty. Rachunek sumienia w akcie pierwszym budzi w nim ambicje społeczne i etyczne, spotkanie z Ewą prowadzi do tęsknot za mieszczańskim dobrobytem. May rzuca się z jednej ostateczności w drugą, podszywa się pod sanacyjnego publicystę, Columbusa, by zdobyć Ewę, i deklamuje o swym radykaliźmie społecznym, by zdobyć jej siostrę — socjalistkę Martę. W konsekwencji ląduje na oślej ławie faszyzmu, w tej ostatniej roli czując się równie źle, a może i znacznie gorzej jeszcze niż w rolach poprzednich.

Jakież stąd wnioski? Co właściwie autor chciał nam powiedzieć?

Komedia Korcellego powstała przed 1939 rokiem, jej ostrze polityczne zwrócone było przeciw ówczesnym nastawieniom społecznym pewnej części inteligencji. „Papuga" miała zapewne być ostrzeżeniem przeciw zbyt łatwemu uleganiu przez ten zdeklasowany, bezideowy odłam inteligencji sugestiom faszyzmu. Jeśli tak było istotnie, to trzeba przyznać, że „Papuga", gdyby została podówczas dopuszczona na scenę, byłaby w pewnej mierze ostrzeżeniem proroczym. Dziś, z perspektywy przebytych lat walki z faszyzmem, w chwili, gdy warunki rodzenia się tego rodzaju nastrojów przynajmniej w szerokiej, mającej znaczenie społeczne skali znikły bezpowrotnie, — sztuka Korcellego nabrała wartości dokumentu.

Jest to dokument, jeśli się tak można wyrazić, psychohistoryczny. Korcelli dość dokładnie w ramach możliwości scenicznych podmalowuje tło społeczne i stara się uzasadnić psychologicznie pobudki przemian Juliana Maya. Nie zawsze uzasadnienia te są przekonywujące, być może dlatego, że pokazane są w skrótach i spięciach, choć właśnie to jest przecież zaletą dobrze skonstruowanego widowiska. I dlatego zapewne, nie mogąc w ramach tradycyjnej komedii wyładować całego bagażu myślowego, Korcelli łamie jednolitość utworu scenicznego. Mimo że w dwóch pierwszych aktach komedii mamy rozwiązanie całej intrygi, autor uważał za konieczne dołączyć do nich wózek z ideologią, — akt trzeci, nawiązujący do zupełnie innych kategoryj słowa teatralnego, — jak już wspomniałem, trzeci akt „Papugi" wywodzi się raczej z teatru symbolicznego. Trudno orzec w jakim stopniu droga ta jest świadoma — chyba tak, jeśli autor mówi o tym w załączonych do programu teatralnego „kilku słowach". Niemniej, czy jest pewnego rodzaju nowatorstwo czy też nie — takie rozwiązanie trudnej sytuacji przez komediopisarza - ideologa może budzić poważne zastrzeżenia, gdyż tak czy inaczej niszczy artystyczną jednolitość sztuki. Zwłaszcza, że rzecz komplikuje się nieco i w innej jeszcze płaszczyźnie. Postawa ideologiczna Korcellego nie podlega na przestrzeni sztuki żadnym wątpliwościom. Jest to postawa inteligenta - demokraty widzącego wszystkie konsekwencje sanacyjnego reżimu i odsłaniającego je w sposób jasny i bezkompromisowy. Niemniej, ponieważ założeniem sztuki jest negacja, a w pierwszych dwóch aktach komediopisarz negację tę uwypukla niejednokrotnie poprzez karykaturę i kpiny, akt trzeci, rozwiązany w innej płaszczyźnie artystycznej, gdy nie stawia się w nim właściwie poza ostrzeżeniem żadnych tez pozytywnych, pozostawia wrażenie niedosytu zarówno artystycznego jak i intelektualnego.

Tego ostatniego słowa nie należy pojmować fałszywie. „Papuga" napisana jest z dużą inwencją, pierwsze dwa akty obfitują w dowcipne spięcia akcji i inteligentne dowcipy. Ów niedosyt intelektualny, jaki wynosimy ze sztuki przypisać należy innym, głębszym przyczynom, tkwiącym zapewne w samym jej założeniu, w wyłącznie negatywnej postawie jej autora wobec objawów społecznych, które, choć istotnie wymagają oceny negatywnej, winny jednak być interpretowane na obszerniejszej niżeli płaszczyźnie. Oczywiście nikt nie żąda, by komediopisarz zrobił ze sztuki traktat polityczny z określonym programem socjalnym. Fakt, że „Papuga" stała się dokumentem historycznym świadczy dość dobitnie o jej wartości, niemniej czynniki natury społecznej, a nie konstruktywne, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało, sprawiły, że sztuka właśnie pod względem artystycznym robi wrażenie rozbitej.

Reżyseria Osterwy pogłębiła jeszcze te wrażenia, gdyż zamiast stonować uwypukla różnice traktowania dwu pierwszych aktów w stosunku do trzeciego.

Marian Wyrzykowski doskonale zrozumiał i zidentyfikował swą rolę, potraktował ją jednak w sposób zbyt może groteskowy w drugim akcie, niepotrzebnie każąc Mayowi miotać się w rozterce duchowej po scenie. Bardzo dobry był Seweryn Butrym w roli Columbusa, pełna wdzięku Karolina Lubieńska jako Ewa i pełna mocy duchowej Nina Andrycz — Marta. Reszta zespołu stała na wysokim poziomie.

tylko pierwszą po wojnie sztuką polskiego autora, stawianą na scenie polskiej, lecz i pierwszą, debiutową sztuką Korcellego.

Seweryn Pollak

PRZEGLĄD PRASY

W kronice życia kulturalnego ubiegłego tygodnia bezsprzecznie dominuje sprawa teatru. Zwołana w Warszawie inauguracyjna konferencja Rady Teatralnej pozwoliła na razie zorganizować się komisjom, które opracują szczegółowo zagadnienia i postarają się o realizowanie postulatów Rady, złożonej z najwybitniejszych pracowników teatru w terenie.

Rosnące zainteresowanie dla spraw teatru manifestuje się również w zakresie wydawnictw periodycznych. W ostatnich tygodniach powstały prawie równocześnie dwa pisma miesięczne, poświęcone wyłącznie zagadnieniom teatru.

Pierwsze z nich, wydawane w Warszawie pod redakcją Jana Nepomucena Millera pod nazwa „Teatr", odznacza się bardzo staranną szatą zewnętrzną i jest, jak się nam wydaje, trybuną oficjalnych wypowiedzi o teatrze. Niestety, nie wszystkie pozycje numeru pierwszego moglibyśmy przyjąć bez protestu. Protest nasz dotyczyć musi przede wszystkim tych części artykułu Jana Nepomucena Millera (odpowiedź na ankietę: „O nowy repertuar teatrów polskich"), w których autor kwestionuje wartość komedii fredrowskich „na dziś", powołując się na to, że „sto lat temu z górą tych, którzy serio przeżyli tragedię powstania listopadowego — Goszczyńskiego i Pola — obrażał i ranił humor Fredry..."

Postaci fredrowskie, smaczne, czy niesmaczne, istnieją w naszej literaturze dramatycznej i wymazać ich stamtąd nikt nie zdoła, bo niesposób wymazać z historii tych czynników, które przyczyniły się do ukształtowania typów fredrowskich w Polsce, postaci mieszczańskiej komedii obyczajowej we Francji, czy gogolowskich w Rosji. Pokazywanie na scenie obrazu minionej i przezwyciężonej rzeczywistości wydaje się nam bardziej instruktywne niż odgrywanie sztuk, które będą może napisane według recepty Jana Nepomucena Millera przez tych, którzy zdołają „oderwać się od dziedzictwa przeszłości i wróść w czasy nowe". Obawiamy się tylko, że jeśli nowa twórczość dramatyczna będzie się kształtować w atmosferze pogardy dla społecznych literackich wartości dotychczasowego dorobku dramaturgii polskiej i obcej, bo w konsekwencji należałoby z pogardą potraktować typy Szekspira, Plauta czy Moliera, to teatry nasze znajdą się w sytuacji kłopotliwej. W kłopotliwej sytuacji znajdą się również ci, którzy na serio uwierzą propozycjom p. Millera i zechcą na własną rękę zmieniać zakończenia „Nieboskiej" czy „Świętoszka". Wyobraźmy sobie cóż to za pole do popisu dla wszystkich prowincjonalnych reżyserów!

Artykuł Millera, wydrukowany w pierwszym numerze reprezentacyjnego pisma teatralnego rozgrzesza w pewnej mierze wypowiedzi p. Zygmunta Kwiecińskiego, który w tym samym numerze „Teatru" w artykule „Teatr ludowy — teatrem kultury chłopskiej" domaga się nowego repertuaru dla chłopów, stwierdzając, że dotychczasowy repertuar jest niewystarczający. Receptę na chłopski teatr podaje p. Kwieciński z taką naiwną niefrasobliwością, że boimy się, czy to aby nie owocują już złote myśli Jana Nepomucena Millera.

Między innymi poleca p. Kwieciński wprowadzenie widowisk obrzędowych, które — „oparte na pozostałościach dawnej kultury ludowej, pełne głębkiej treści i wiary w magię i wartość dawnych magicznych rytuałów sakralnych... wiążące człowieka z przyrodą, wskazujące na uzależnienie go od roku słonecznego — godne są i dziś wprowadzenia do teatru ludowego". Jak widzimy program p. Kwiecińskiego jest dość obfity i odwrotny od tego, co zamierza przeprowadzić dziś każdy rozsądny pracownik oświatowy: dać chłopu minimalne wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej i wprowadzić go jako pełnoprawnego gospodarza we wszystkie dziedziny życia narodowego, co oczywiście wyłącza możliwość tworzenia ghetta w dziedzinie kultury i budowanie sztucznych wylęgarni „warości magicznych" i „rytuałów sakralnych".

Te dwie omówione przez nas pozycje nie są najjaśniejszą stroną pierwszego numeru „Teatru". Całością życia teatralnego w Polsce zajął się w artykule „Dziś i jutro teatralne" Michał Rusinek; sumując pod koniec bieżącego sezonu plusy i minusy teatralnego życia kraju, daje nam zwięzły i treściwy obraz sytuacji i proponuje konkretne posunięcia, które przyczynią się do postawienia teatru w Polsce na odpowiednim poziomie, zarówno w zakresie społecznych jak i kulturalnych czynności teatru. Propozycje repertuarowe Rusinka w połączeniu z projektowanym „upowszechnieniem kultury teatralnej" wśród najszerszych mas ludności są bardzo ambitne i zapewne dlatego właśnie słuszne: Fredro, Słowacki, Szekspir, Molier.

O pracy konspiracyjnej Rady Teatralnej informuje nas w obszernym artykule autor występujący pod pseudonimem Lambda. Ci, którzy zapoznawszy się z treścią artykułu, przypomną sobie niedawne postulaty pierwszej konferencji Rady Teatralnej, skonstatują z satysfakcją, że w dziedzinie teatru panuje u nas bardzo pocieszająca zgodność opinii.

W dziale literackim pisma zamieszczono fragment trzeciego aktu „Spartakusa" Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego.

Numer zamykają obszerne sprawozdania z życia teatralnego zagranicy i kraju.

Następnym z kolei pismem poświęconym sprawom teatralnym jest powstały zapewne po likwidacji „Afisza Starego Teatru" miesięcznik „Listy z Teatru". W pierwszym numerze tego pisma, wydawanego w Krakowie przez Komisję porozumiewawczą Teatrów Krakowskich znajdujemy między innymi kilka wypowiedzi pisarzy o teatrze. Między innymi Jerzy Szaniawski pisząc o „Kasie teatralnej" nawraca do klimatu dawnego teatru i wskazuje na jego częściowo pozytywną rolę dziś w obliczu nowego widza zupełnie nieistotną. „Nowi ludzie, co przyjdą do teatru — pisze Jerzy Szaniawski—nie powinni widzieć napisów. „Teatr" i „kasa" jednakowych a tak ściśle ze sobą złączonych. Kasa to po prostu informacja, jak — „szatnia", „palarnia"...

Źle się stało, że Karol Adwentowicz znakomity aktor, użył we wstępie swego krótkiego artykułu „Teatr", słów zbyt szumnych i wyświechtanej frazeologii. Źle, bo zniechęcony czytelnik może poprzestać na lekturze tych kilku zdań wstępnych, nie troszcząc się o resztę artykułu. Przebrnąwszy przez stylistyczne zawiłości, napotkamy jednak zdanie, które należy zacytować zwłaszcza dziś, gdy wentyluje się sprawy repertuaru z jednej strony, a sprawę „upowszechnienia kultury" z drugiej, przy czym, jak o tym świadczą niektóre wyżej podane przez nas cytaty, panuje w tej dziedzinie dość duże pomieszanie pojęć. Zdanie to świadczy o słusznym traktowaniu przez autora kwestii repertuaru dla teatrów robotniczych, „teatrów dla mas". „Spotykamy się stale z zadaniem uwzględnienia repertuaru dla mas... tak jakby człowiek pracujący fizycznie musiał mieć... swój gatunek sztuki. Teatr robotniczy musi mieć... repertuar najdostojniejszy, bo tylko w wielkim dziele zamknięte są najistotniejsze, najgłębsze zagadnienia społeczne i etyczne".

Z tekstów dramatycznych przynoszą „Listy z Teatru" przekład Hanny Malewskiej z najstarszej sztuki francuskiej. Jest to dramat liturgiczny „Le jeu d'Adam". Notując oba te wydawnictwa teatrologiczne spodziewamy się, że artykuły i prace w nich zamieszczane posłużą pismom typu literacko - społecznego jako materiał dyskusyjny w sprawach teatru współczesnego, jego znaczenia i roli, jaką powinien spełnić. Rzecz niewątpliwa, że te głosy w dyskusji prowadzonej na łamach pism tygodniowych łatwiej będą docierać do szerokich rzesz czytelniczych, niż poglądy wypowiadane w pismach specjalnych. Niewątpliwe jest również, że podział opinii co do zagadnień repertuarowych, które najbardziej może interesują ludzi w teatrze, będzie zgodny z podziałem opinii co do zagadnień, wykraczających właściwie już daleko poza sprawy czysto teatralne. Są to przede wszystkim sprawy lansowania teorii odrębnych kultur „robotniczej", „ludowej", „inteligenckiej" i tak dalej. Już choćby z pierwszego numeru miesięcznika „Teatr" mogliśmy się przekonać, że tego rodzaju szkodliwe naszym zdaniem tendencje istnieją. Rzeczą pism typu literacko - społecznego byłoby przedyskutowanie słuszności i racji bytu tych tendencji na odcinku teatralnym, tak jak omawiano te sprawy na innych odcinkach życia kulturalnego. pb

NOTY

BEZ KOMENTARZY

Pismo niemieckie „Die Neue Zeitung", wydawane jako „gazeta amerykańska dla ludności niemieckiej" w Monachium, bierze w obronę Niemców przed Polakami. Żadne przewinienie niemieckie — czytamy tam — nie może służyć za pozór do tak nieludzkiego traktowania Niemców i do tak wielkiej obrazy godności ludzkiej, jak to się dzieje na ziemiach pod polską kontrolą". mj

CENZURA

Ktokolwiek był w Warszawie w okresie okupacji pamięta dobrze mury zapisane polskimi hasłami politycznymi. Wykonanie takich napisów to była rzeczywiście akcja bojowa, często równie niebezpieczna, jak wypad z bronią w ręku.

Każdy jako tako zorientowany politycznie pamięta, że właśnie szczególnie często pojawiały się napisy wzywające do poniechania postawy „stania z bronią u nogi" narzucanej przez Londyn. Szczególnie często ukazywały się napisy demokratycznych organizacyj wojskowych wzywające do walki bezpośredniej, głoszące potrzebę drugiego frontu. Napisy te okupione były taką samą ceną krwi, ofiarności i patriotyzmu — jak i te, „usankcjonowane" przez Londyn.

Obecnie mamy w Muzeum Narodowym wystawę poświęconą cierpieniu i walce Warszawy.

Na tej wystawie przypomniane zostały tylko napisy jednego typu, tak charakterystyczne hasła organizacyj demokratycznych potraktowano jakby ich nigdy nie było. Dlaczego znów postępowcy nie umieją bronić pamięci swojego udziału w walce niesprawiedliwego zacietrzewienia? Dlaczego dawni „gwardziści" choćby przez pietyzm dla kolegów, którzy dali życie przy takich akcjach propagandowych w ciągu tych tygodni od otwarcia wystawy nie postarali się uzupełnić tej kolekcji napisów w Muzeum? Wstyd! I głupio!

żlk

SUBTELNY EKSCENTRYK

W jednym z łódzkich pism codziennych ukazał się obszerny, bo na kilka partii rozdzielony, artykuł informacyjny Jana Sokolicza Wroczyńskiego o pisarzach laureatach Nobla od chwili ufundowania nagrody aż do naszych dni. Odgadnijcie, proszę, do którego z laureatów Nobla Jan Sokolicz-Wroczyński zastosował następujące określenie:

„Subtelny ironista i ekscentryk, znajdujący się pod dużym wpływem Prousta".

Subtelny ironista—to może Anatol France? Ale ekscentryk? Może to Heyse, może Pontopidan? Pod dużym wpływem Prousta? Tu już wszelka pamięć zawodzi. Nie łudźcie się daremnie ,tej zagadki nikt nie odgadnie, chyba jakiś Ormianin. Wisi na ścianie, zielone i piszczy. Nazywa się...

Nazywa się Roger Martin du Gard.

Ta ormiańska zagadka ma jednak swoje bardzo rodzime parafiańskie rozwiązanie. Jan Sokolicz-Wroczyński nic absolutnie nie wie o wielkim realiście współczesnym, pisarzu wybitnie postępowym, jedynym bodaj powieściopisarzu, który daje w swoich utworach obiektywny obraz przemian ideologii inteligencji francuskiej. Potrafi natomiast obszernie informować o Maeterlincku wysuwając go na czoło laureatów Nobla. Potrafi rozczulać się nad wypłowiałą mistyką Maeterlincka, jego martwym dawno teatrem i jałowymi medytacjami filozoficznymi. Jan Sokolicz-Wroczyński słusznie zauważa, że o przyznawaniu Nobla decydowały nieraz względy polityczne. Szkoda tylko, że nie spostrzegł, iż taki właśnie wzgląd zadecydował w swoim czasie o nagrodzeniu Maeterlincka za jego niby to biologiczne i niby to socjologiczne, a przede wszystkim agnostyczne refleksje .Sens polityczny może mieć nawet informacja o laureatach Nobla, czego dowodem jest właśnie artykuł Jana Sokolicza-Wroczyńskiego. Życzymy subtelnemu ekscentrykowi, aby raczył to dostrzec. A przy okazji nie zaszkodzi ob. J. S. W. poczytać Rogera Martina du Garda, chociaż to wcale nie ironista i nie ekscentryk, a z Proustem, niestety, tyle ma wspólnego, że pisze po francusku. rkm

W KRAINIE BEŁKOTU

W ostatnich dniach odbyło się w Warszawie inauguracyjne posiedzenie Rady Teatralnej, mającej za zadanie dopomóc teatrowi polskiemu, by wyszedł wreszcie z impasu między kasą i przedwczorajszymi snobizmami. Niestety, w obfitej literaturze teatrologicznej ostatnich tygodni, znaleźliśmy głosy, które nie tylko nie pomogą teatrowi, lecz przeciwnie — przyczyniają się do umocnienia ogólnie przyjętej fałszywej zasady, że o teatrze nie można mówić inaczej, jak tylko: używając bełkotu stylistycznego, ideologicznego oraz bełkotu z zakresu „upowszechnienia kultury".

Oto trzy przykłady gatunków bełkotu teatralnego:

„Uroczysko teatralnych czarów, już w zaraniu naszej młodości spowiło nas i odurzyło swoim zapachem, mistyczną wonią niecodzienności, tęsknotą Donkiszotowych walk, wyzwoliło z nas pragnienie czynu, ofiarnych zmagań na wzór oglądanych w teatrze bohaterskich postaci, walczących ze smokiem zła, ucisku i niewoli. Czar trwa. Teatr staje się wszechludzką kazalnicą społecznych dogmatów, uderza w najczulsze, najbardziej emocjonalne struny ludzkiej wrażliwości, wzrusza ją, oczyszcza ze złogów rdzy i jak elektroluksem zbiera najmniejsze drobiny zapyleń życiowych..." etc.

Karol Adwentowicz: Teatr, „Listy z Teatru" nr 1 str. 6.

A oto bełkot ideologiczny:

„Sama ewentualność istnienia (w teatrze — dopisek rdc.) typów w rodzaju Gucia ze „Ślubów" lub Papkina z „Zemsty", pasożytniczych darmozjadów, równie pasożytniczych ciotek i stryjków, mecenasów czy protektorów — obraża nas głęboko i podważa nasze wszystkie wyobrażenia o ładzie i ustroju społecznym".

Jan Nepomucen Miller: Odpowiedź na ankietę — O nowy repertuar teatrów polskich, Teatr, nr 1 — 2, str. 20.

Święta prawda. Oddawna już Falstaff i Makbet podważają ustrój społeczny Wielkiej Brytanii i obrażają uczucia narodowe mieszkańców tej wyspy. Zaś demokracji francuskiej grozi czerwony nos Cyrana de Bergerac. A postaci z Gogola spiskują na scenach teatrów moskiewskich przeciwko socjalizmowi. Wobec tego co mają robić pisarze wiejscy jako dramaturgowie? Oto co odpowiada bełkocąc Zdzisław Kwieciński:

„Niech piszą... prosto, ale nie niedołężnie, o miłości ziemi, o rozterce wewnętrznej dzisiejszego człowieka, o antagonizmach międzyjednostkowych i międzygrupowych, o kłopotach gospodarczych i trudnościach życiowych, o udziale wsi w budowie państwowości, a także o miłości do kobiety, jakżeż innej niż w mieście, ogarniającej człowieka jak burza".

Wdzięczni jesteśmy p. Zdzisławowi Kwiecińskiemu za to „a także" i za subtelną definicję miłości wiejskiej, ale pytamy jednocześnie kto daje grube hopy na to, by w miesięczniku „Teatr" w nr 1 — 2 na stronicy 31 w artykule „Teatr ludowy — teatrem kultury chłopskiej" mógł pan Kwieciński szaleć na kredowym papierze, jak miłość wiejska, jak burza? rdc

WYJAŚNIENIE

Dodatek kulturalny „Gazety Ludowej" gromadzi szczególny gatunek ubogich krewnych literatury. Jak zwykle ubodzy krewni odznaczają się drażliwością.

Ostatnio pisał któryś z nich, że nasze pisma literackie stosują niewłaściwą metodę przemilczania niektórych pisarzy, nie drukując recenzyj o ich książkach.

Nie da się zaprzeczyć, iż zarówno w „Kuźnicy" jak i w innych pismach literackich dział recenzyj nie jest postawiony we właściwy sposób, nie stanowi on narzędzia celowej polityki kulturalnej. Lecz przyczyną nie jest tu w najmniejszej mierze zła wola i chęć przemilczania kogokolwiek.

Przyczyny są istotniejsze, obiektywne i trudniejsze do usunięcia.

Piszę o tym, ponieważ czuję się w obowiązku złożyć wyjaśnienia tym wszystkim, którzy istotnie mogliby poczuć się dotknięci tą dziwaczną polityką recenzyjną.

Jest źle. W ciągu dwudziestolecia niepodległości przez studia literackie na naszych uniwersytetach przeszły ze cztery dziesiątki tysięcy ludzi. Niestety, poziom tych studiów był i jest taki niski, że zyskaliśmy w tej liczbie zaledwie paru kompetentnych krytyków. Budzący największe nadzieje zginęli w ciągu wojny. Dzisiaj dosłownie w młodym pokoleniu nie mamy ani jednego wykwalifikowanego krytyka poezji. Funkcje krytyków spełniają sami poeci, pisząc o swoich kolegach. Nie mamy ani jednego krytyka teatralnego, który by nie był przy całym talencie przygodnym krytykiem..

Łatwo jest wskazać obiektywne przyczyny tego stanu rzeczy. O wysokim poziomie krytyki okresu pozytywizmu decydował w dużej mierze także fakt, iż krytyka literacka tego czasu swoje horyzonty, konsekwencję i społeczną doniosłość zawdzięczała szerokiej i harmonijnej podbudowie filozoficznej. Sądy krytyczne miały rzetelne ugruntowanie w głębokim systemie filozofii kultury celowo syntetyzującym całość refleksji humanistycznej.

Przezwyciężenie pozytywizmu nie przyniosło nowej — równie szeroko rozbudowanej — filozofii kultury. Czasy Dilthey'a, Crocego, Durkheima dały tylko niepowiązane choć nieraz genialne pomysły. Krytyka literacka pozbawiona ogólniejszych podstaw wyradzała się w naiwnym subiektywiźmie, ciasnocie teoryjek tworzonych ad hoc, na uniwersytetach, ugrzęzła w biografizmie, martwej wpływologii, jałowym filologiźmie.

Od lat na katedrach mamy sumiennych wydawców tekstów — a nie teoretyków literatury zdolnych do szerokiego filozoficznego pojmowania zagadnień. I nic nie zapowiada poprawy.

Przeciwnie, zachodzi obawa, że nasze uniwersytety lata jeszcze będą produkowały bezwartościowych przyczynkarzy. Program bowiem studiów literackich pod żadnym względem do funkcji krytyka, żywego teoretyka literatury nie przygotowuje. Wojna nie pozwoliła się rozwinąć jedynym u nas próbom zmiany tego stanu rzeczy, podjętym przez grupę młodych badaczy wówczas skupionym przy Wóycickim, a kierowanym przez Siedleckiego. Ludzie zginęli, rękopisy spłonęły, prace ogłoszone ciągle jeszcze nie dotarły do szerszej opinii. Toteż trzeba sobie jasno powiedzieć — nie ma komu dziś pisać krytyk i recenzyj.

I to jest przyczyną nieraz długiego milczenia nawet o bardzo ważnych i wartościowych książkach..

Mamy zaledwie paru (mniej niż pięciu) krytyków średniego pokolenia, którzy zdążyli jeszcze zdobyć odpowiednią wiedzę. Specjalizują się oni prawie wyłącznie w prozie. Zawaleni są pracą. Zwłaszcza, że wciąga ich publicystyka polityczna, absorbująca w tych przełomowych czasach coraz więcej sił.

Zmienić ten stan rzeczy może tylko świadomy i celowy wysiłek zmierzający do szybkiego wyszkolenia nowych kadr. A to wymaga stworzenia nowego programu studiów, nowego środowiska. Bo to czym dysponują literackie wydziały uniwersytetów może produkować tylko martwych przyczynkarzy — a nie żywych i myślących krytyków współczesności.

I jeszcze jedna sprawa — uwydatniająca jeszcze raz zależność stylu życia duchowego od sprawności techniki: oto, redakcje nie otrzymują egzemplarzy recenzyjnych. Część ginie na poczcie (sprawdzałem!), część leży niewysłana w biurach ekspedycyjnych wydawnictw. Wiem jedno, że od miesięcy książki, które recenzujemy w większości wypadków redakcja po prostu kupuje. Możeby autorzy sami zatroskali się o te sprawy i pomogli przełamać opór niedociągnięć technicznych poczty i aparatu wydawnictw?

żlk

WALKA Z PIECZONYM KAPŁONEM

W łódzkim „Głosie Robotniczym" z dnia 23 czerwca ob. W. szeroko omawia akcję Komisji Specjalnej, która dokonała inspekcji prawie wszystkich co bardziej znanych nocnych lokali restauracyjnych i większość z nich zamknęła. Szło naturalnie o wytropienie spekulantów. Gościom restauracyjnym, którzy mieli dokumenty w porządku i nie posiadali przy sobie większych sum, pozwolono wyjść. Wyniki tej akcji sprowadzają się do następującej wzmianki rzeczowej. „Z kilkunastu przewiezionych na ul. Gdańską osób zatrzymano kilku cyganów, celem ustalenia personalii (chyba personaliów) i środków zarobkowania". Co za naiwność, środki utrzymania Cyganów są na ogół znane. W ostatnich czasach po Łodzi uwija się moc Cyganów, zwłaszcza Cyganek, ale prócz ob. W. nikt ich chyba nie widział za stolikiem restauracyjnego lokalu, pijących wino za zdrowie króla Kwieka. Jeśli nawet tych kilku umorusanych Cyganów przy bliższym badaniu okaże się groźnymi spekulantami, to mizerny plon połowu jakoś dziwnie nie zgadza się z konkluzją ob. W: „W lokalach tych spekulanci i paskarze nie tylko tracili nieuczciwie zdobyty pieniądz, lecz przy kieliszku obmyślali i opracowywali dalsze nadużycia". Mógłby ktoś sądzić, że Komisja Specjalna działała wybitnie niedołężnie, bo nie potrafiła przyłapać paskarzy na gorącym uczynku spekulacji. Niestety, tylko w naiwnej wyobraźni ob. W. spekulanci wybierają sobie znane nocne lokale do załatwiania interesów. W nocnych lokalach spekulanci wydają pieniądze, a po zamknięciu tych lokali napewno znajdą sposób wydawania ich bez opłacania podatku konsumcyjnego. Trudno pojąć, dlaczego dziennikarz pisma robotniczego troszczy się o to, aby spekulanci nie tracili pieniędzy, aby je tezauryzowali.— Ob. W. przypomina człowieka, który zatrzymuje wiatrak, aby odmienić kierunek wiatru. Przedstawiając robotnikom ilkwidację kilku lokali nocnych jako cios zadany spekulantom, dziennikarz pozwala sobie na demagogię conajmniej naiwną. Dla wywołania zgrozy wśród czytelników ob. W. soczyście opisuje wnętrza restauracji: „Na ogromnej blasze pieką się kurczęta, smażą ryby. Na stołach półmiski z zimnymi zakąskami — łososie, węgorze, sałatki — potrawy chyba tylko w marzeniach dostępne dla uczciwych ludzi". Ob. W. ma rację, o tej porze, kiedy w kuchniach nocnych lokali pieką się kurczęta i smażą ryby, większość robotników łódzkich śpi po pracy, ale te same kurczęta, ryby, łososie i węgorze w biały dzień można oglądać przez szyby wystaw sklepowych na ul. Piotrkowskiej. Skoro to się wystawia na sprzedaż, to ktoś widocznie kupuje te artykuły i spożywa.

Rozpiętość cen, paradoksy gospodarcze chwili powojennej, sytuacja ludności pracującej, sprawa spekulacji — to wszystko są kwestie zbyt poważne ,aby mydlić oczy robotnikom jakimś obłudnym drobnomieszczańskim purytanizmem, zamiast wyjaśniać im istotę rzeczy. Ob. W. daje do zrozumienia, że władze zlikwidują nie tylko nocne spelunki, ale w ogóle wszystkie nocne lokale, aby prządzić tam żłobki dla dzieci robotniczych. Co ma piernik do wiatraka? I po co w takim razie Komisja Specjalna? Wystarczy jednym pociągnięciem pióra zamknąć nocne lokale zamiast trudzić po nocy Komisję Specjalną i rozpalać kwakierską wyobraźnię dziennikarzy, dla których walka ze spekulacją i walka o socjalizm sprowadza się do jednego niedopieczonego kapłona na rożnie.

awk

Z ŻYCIA SZKOLNEGO

W ostatnich dniach czerwca zwiedzała Łódź wycieczka szkoły zawodowej z Płocka, złożona z dziewcząt w wieku od lat 10 do 16. Dziewczęta były również w teatrze. Nie na „Uczniu diabła" Shawa i nie na „Produkcji Pana Brandta" Jana Rojewskiego, ale na premierze prasowej „Żołnierza królowej Madagaskaru". Publiczność bawiła się znakomicie. Dziewczęta również. Stara poczciwa farsa nabrała świeżutkich rumieńców.

awk

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE
PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO
podległe Ministerstwu Aprowizacji i Handlu, Rejon Krakowski
w Krakowie, ul. Kopernika 6, tel. 566-98
Rachunek czekowy w B. G. K. Nr 340 oraz P. K. O. Nr IV-1055

Zrzesza browary:
Okocim, Żywiec, Kraków, Grybów, Zarszyn,
Tarnobrzeg oraz słodownię w Tarnowie

Produkuje piwa jasne 7° i 9°. Znany z dobroci porter 22° i piwo ciemne 15° z Browarów Okocimskiego i Żywieckiego ukażą się wkrótce w sprzedaży.

Czytajcie i prenumerujcie
„KUŹNICĘ"

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8,000: 1/16 kolumny zł 5,000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
D—06479
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.